

Autor: Wojciech Jędrzejewski OP

Tajemnica Mszy Świętej

- I. TAJEMNICA MSZY ŚWIĘTEJ
- II. TAJEMNICA GRZECHU
- III. TAJEMNICA BOŻEGO MIŁOSIERDZIA

Randka z ukochanym

Jeżeli pozwolimy sobie na bezmyślność i rutynę w przeżywaniu Mszy świętej, pozbawimy samych siebie radości i fascynacji największym na tej ziemi darem kochającego Boga. Nigdy w nas nie zakwitnie zachwyt nad tym Darem, jeżeli przestaniemy pielęgnować naszą szukającą zrozumienia miłość do Eucharystii. Jak jednak możemy to uczynić? Spróbujmy poszukać drogi zbliżenia się do tej zdumiewającej Tajemnicy poprzez odwołanie się do doświadczeń z naszego życia. Pierwszym takim doświadczeniem niech będzie: randka z ukochanym.

Zakochani mają bliskie ich sercu miejsca, do których lubią razem powracać. Czasami jest to ławka w parku, na której chłopak po raz pierwszy odważył się wziąć dziewczynę za rękę, albo stolik w przemiłej kawiarence, który był świadkiem pierwszych miłosnych zwierzeń. Niektóre pary małżeńskie świętują rocznicę swego ślubu tam, gdzie kilkanaście lat wcześniej jedno drugiego poprosiło o rękę.

Podobnie ma się rzecz w naszej miłości z Panem Bogiem. On również lubi zapraszać tych, którzy oddają Mu swoje serca, w określone miejsca szczególnego rodzaju. Takim miejscem, gdzie Bóg nas zaprasza na „randkę” jest Msza święta.

Wielu ludzi powtarza tego typu formułę: „Nie muszę łączyć na jakąś tam Mszę, gdzie kłębią się tłumy, organista fałszywie śpiewa, ksiądz gada o polityce. Nie będę brał udziału w tym cyrku, mogę spotkać Boga gdziekolwiek”.

To prawda, że Boga można spotkać wszędzie i człowiek wierzący doświadcza tego w swoim życiu (kiedyś święty Augustyn śpiewał psalm w ubikacji, czym zgorszył swą pobożną matkę), nie warto jednak w imię tego rezygnować z pewnych szczególnych miejsc, gdzie *randka* z Panem Bogiem ma wyjątkowe znaczenie. Wyobraźmy sobie następującą sytuację: Mąż mówi do swej żony: „Kochanie, dziś jest rocznica naszego ślubu. Zapraszam cię na kolację do restauracji chińskiej, gdzie odbyły się nasze zaręczyny”, i w odpowiedzi słyszy: „Dajmy spokój z tymi sentymentalnymi głupotami. Przecież codziennie się spotykamy, jesteśmy razem, mieszkamy pod jednym dachem. Zrób po prostu kawę i obejrzymy wspólnie czterdziesty odcinek ulubionego serialu”. Takie zachowanie żony może świadczyć o niedostrzeganiu przez nią wartości święta jako czasu podejmowania działań wolnych od chłodnego pragmatyzmu. Na podobnej zasadzie źle dzieje się w naszym małżeństwie z Panem Bogiem, jeśli nie pozwalamy Mu zaprosić się na to wyjątkowe spotkanie w określonym dniu i miejscu, jakim jest Msza święta. Marnujemy bowiem wyjątkową okazję do upiększenia codzienności naszego bycia z Bogiem i sami jesteśmy winni, że staje się ona szara, bezbarwna, pełna rutyny i nijakości. Pozornie głęboka i bardzo trzeźwa idea, by spotykać Boga wszędzie po prostu „spala na panewce”, jeśli zabraknie zaplanowanych *randek*, które odświeżają pamięć początków.

Niedzielną Msza jest więc ulubionym miejscem Pana Boga, kiedy to chce On zasiąść z nami przy odświętnie zastawionym stole, aby wspomnieć i uroczystie przeżyć miłość, jaka nas łączy. Pan Jezus podczas tego spotkanie mówi ze wzruszeniem: „Przypomnij sobie ten dzień, w którym umarłem za ciebie na krzyżu, aby potem zmartwychwstać i otworzyć przed tobą serce, z którego płynie wieczne życie”. Pan przywołuje absolutny początek naszej więzi – wtedy, gdy jeszcze nie było nas na świecie, a On, wydając swe życie na krzyżu, miał przed oczami Ciebie i mnie. Tam dokonało się największe w historii wszechświata wyznanie miłości. Wówczas Bóg odsłonił swe serce. Dzisiaj, gdy przez wiarę, choć nieudolnie i z oporami, podjęliśmy Jego zaproszenie, przywołuje nas, abyśmy weszli w przestrzeń tamtych wydarzeń. Jeszcze raz, niestrudzenie

przyprawia nas pod krzyż, przerywa bieg codziennych czynności, zaskakując swym powrotem jako zmartwychwstała, wiecznie żywa Miłość (por. J 21, 1-13). Tu, gdzie wszystko się zaczęło, chce dokonać odnowienia przymierza.

Rozmowa

Jednym z piękniejszych doświadczeń, jakie przyniosło mi życie w zakonie, była szczerą i głęboką rozmowa ze szczególnie mi bliskimi ludźmi. To wspaniałe móc rozmawiać z przyjacielem, zwłaszcza jeżeli serca są złączone w tej samej miłości do Boga. Święty Augustyn w *Wyznaniach* opisuje jedną z takich urzekających chwil, którą przeżył podczas ostatniego spotkania ze swą matką:

Gdy nadszedł dzień, w którym miała odejść z tego życia, zdarzyło się, że staliśmy tylko we dwoje [...]. W odosobnieniu rozmawialiśmy jakże błogo. Zapominając o przeszłości, a wyciągając ręce ku temu, co było przed nami, wspólnie zastanawialiśmy się nad tym, czym będzie wieczne szczęście zbawionych. I jeszcze wyżej wstępowałyśmy rozmyślając i mówiąc z zachwytem o Bożych dziełach. I gdy tak w żarliwej tęsknocie mówiliśmy o tej krainie, niewyczerpanej obfitości, gdzie na wieki karmisz Izraela pokarmem prawdy, dotknęliśmy jej na krótkie мгnienie całym porywem serca (przeł. Z. Kubiak).

Msza święta jest taką właśnie przyjacielską rozmową z Panem Bogiem, w której ogromną rolę odgrywa umiejętność słuchania. (Na marginesie mała scenka o tym, jak niecodzienna to umiejętność: opowiadali mi zakonni współbracia o pewnej wakacyjnej przygodzie, kiedy to dyskutowali przy ognisku, a przysłuchiwał się temu mały chłopak. Po chwili przyprowadził ojca, który tak wyjaśnił swoją wizytę: „Przybiegł do mnie syn i mówi, że przy ognisku siedzą dziwni panowie; jak jeden mówi to reszta słucha...”).

Jeżeli sporo osób nudzi się na Mszy, dzieje się tak być może i dlatego, że mają zamknięte uszy na to, co Bóg z miłością mówi w swoim Słowie i o co Kościół modli się liturgicznymi tekstami; nie potrafią słuchać.

Bogactwo treści specjalnie dobranych na daną niedzielę czytań jest ogromne. Teksty Pisma świętego łączy zawsze przewodni temat, który jest rozwijany jak w pięknym utworze muzycznym. Ton Bożej melodii podaje fragment ze Starego Testamentu. Psalm podchwytuje go i rozwija, a pełnię brzmienia osiąga w Ewangelii. Nawet jeśli kazanie nie zawsze umiejętnie wprowadza w ów przedstawiany temat, nic nie stoi na przeszkodzie, by ogarnąć go samemu własną wrażliwością. Bóg, który nas poucza swoim Słowem, zachowuje się jak ktoś umiejętnie wprowadzający w rozległą dziedzinę wiedzy. Nie mówi wszystkiego na raz, nie wysypuje na małą grządkę całego worka ziarna, ale podrzuca nam małe ziarenka swojej mądrości. Mówi do nas: „Dzisiaj pomyślmy i porozmawiajmy o przebaczeniu. Następnym razem chcę wam opowiedzieć o cierpliwości”.

Warto również z wewnętrznym wyciszeniem wsłuchać się w modlitwy używane podczas Eucharystii. Najstarsze z nich mają swe korzenie w religii naszych starszych braci Żydów, wiele sięga do początków Kościoła, jego pierwszych wspólnot. Wszystkie zaś są zapisem coraz głębiej rozumianej tajemnicy wyznawanej wiary w kochającego nas Boga. Ci, którzy skarżą się na nieumiejętność sformułowania przed Bogiem własnej modlitwy, niech zaczną wykorzystywać bogate *tworzywo* wypowiedzianych przez Kościół podczas Liturgii słów miłości i wiary.

Rozmowa przyjaciół nigdy nie jest monologiem. Podczas Mszy świętej odbywa się niemal nieprzerwany dialog. Znajduje on swój wyraz w kilkakrotnie powtarzanych zwrotach: „Pan z wami”, „I z duchem Twoim”. W trakcie Modlitwy Eucharystycznej dialog ten jest nieco bardziej rozbudowany: „W górę serca”, „Wznosimy je do Pana”, „Dzięki składajmy Panu Bogu naszemu”, „Godne to i sprawiedliwe”.

Dialog jest również obecny podczas czytania Słowa Bożego, kiedy psalmem odpowiadamy na to, co usłyszeliśmy z fragmentu Starego Testamentu.

Najdonioślejszą jednak odpowiedzią, jaką dajemy Bogu w naszej z Nim rozmowie, jest „amen”, wypowiedziane w obliczu Jezusa, który nam się powierza w Komunii świętej: „Ciało Chrystusa”... „Amen”. Bardzo często między ludźmi rozmowa prowadzi do podziału i konfliktu.

Rozmowa z Bogiem, która dokonuje się we Mszy, kończy się głębokim zjednoczeniem i niewyobrażalną bliskością.

Boskie lekarstwo

Ojcowie Kościoła, wybitni chrześcijańscy pisarze pierwszych wieków, lubili, dla wyjaśnienia tajemnicy Eucharystii, porównywać ją do lekarstwa. Święty Augustyn mówi w swoim kazaniu do nowo ochrzczonych, mających za chwilę w pełni uczestniczyć we Mszy Świętej:

Pojmiecie, co znaczy ów wielki i Boski Sakrament, tak wspaniale i czyste lekarstwo.

Gdy wybieramy się na Eucharystię, warto jest sobie wyobrazić, że wchodzimy w *uzdrawiającą obecność Pana*: Jego dobre Słowo jest kojące, przywraca pokój, radość i nadzieję. Gdy jako wspólnota trwamy na modlitwie, Duch Święty nas jednoczy, leczy rany podziałów, niezgody i izolacji. Wreszcie Najświętszy Sakrament uzdrawia nas z niewiary i poczucia oddalenia od Boga. Słowa o uzdrowieniu, którego dokonuje udzielający nam się Pan, pojawiają się co najmniej w dwu miejscach. Przed przyjęciem Komunii mówimy:

Panie nie jestem godzien, abys przyszedł do mnie, ale powiedz tylko słowo, a będzie uzdrowiona dusza moja. Tuż po tym wyznaniu, kapłan w osobistej modlitwie przed spożyciem Ciała i Krwi Pana mówi szeptem (szept oznacza czułą rozmowę):

Niech przyjęcie Ciała i Krwi Twojej nie ściągnie na mnie wyroku potępienia, lecz dzięki Twemu miłosierdziu niech mnie strzeże oraz skutecznie leczy moją duszę i ciało. Przypowieść o dobrym Samarytaninie może być odczytana jako opis spotkania ze Zbawicielem, opatrującym nasze rany podczas Eucharystii. Bohater przypowieści obmywa winem i oliwą człowieka pobitego przez zbójców. Oliwa i wino były wówczas najbardziej dostępnymi farmaceutycznymi środkami dezynfekującymi. Dobry Samarytanin wyobraża samego Jezusa, który już nie winem, ale drogocennym lekarstwem swojej Krwi (pod postacią wina) leczy nasze rany. Zawozi następnie do gospody, którą jest Jego Kościół, aby tam dopełnić swej troski.

To właśnie Ty i ja jesteśmy ludźmi pobitymi przez zbójców. Ledwo trzymamy się na nogach w drodze do Boga Miłości, poobijani i posiniaczeni przez własne niewierności i potknięcia. Pali nas gorączka przeróżnych złych skłonności: jeśli, na przykład, ktoś za bardzo przyzwyczał się do kłamstwa albo nie potrafi zapanować nad niszczącym gniewem bądź trawi go chorobliwa ambicja, to wszystko to oznacza wewnętrzne spustoszenie duchowego organizmu spowodowane przez grzech.

Często kroki naszych decyzji są niepewne, gdyż jesteśmy z lekka ogłupiali mnóstwem opinii, apodyktycznych sądów, sprawiających zamęt i oszołomienie: co właściwie jest prawdą, dobrem i czy w ogóle możliwe jest godziwe życie w wierności nauce Mistrza?

Nasze serce nie jest w stanie bić spokojnym, równym rytmem miłości do Pana, bo choruje na niedowierzanie Miłości. Trudno uniknąć owej choroby, żyjąc pośród ludzi, którym Jego Imię jest obce, obojętne albo budzące poczucie zagrożenia. Taki jest nasz żalony stan wędrowców pobitych przez zbójców. Leżymy przy drodze, a niewielu przechodzących obok kwapi się z pomocą.

Ilekoć gromadzimy się na Eucharystii, może się dokonywać uzdrowienie naszych myśli, pragnień, woli i wiary. On sam bowiem, Boski Lekarz, zobaczył nas, wzruszył się, podszedł, „przyjmując postać sługi” (Flp 2, 7) i ogarnął swoją bliskością. Podczas Mszy zostajemy otoczeni Jego ramionami, czujemy, że jest; słyszymy Jego Słowa! Dzięki bezpośredniości wypowiedzanego Słowa oraz znaków niosących żywą obecność możemy stopniowo doznawać uzdrowienia. Powoli dochodzić do siebie, aby widzieć, słyszeć, odczuwać i kochać Boga. Choroba naszej niewiary w Jego nieskończoną miłość może przygasać, gdy widzimy, jak On sam wydaje się w nasze ręce.

Msza święta jest wielkim, Boskim Lekarstwem. To czas przebywania w uzdrawiającej Obecności Pana, który przywraca pełnię życia nam, konającym grzesznikom.

Bo nie potrzebują Lekarza zdrowi, ale ci którzy się źle mają (Łk 5, 31).

Niezwykły pocałunek

Szukając zrozumienia Eucharystii, największego Daru Pana Jezusa, w którym ofiarowuje nam siebie samego, warto przejść krok po kroku całą drogę, po której On do nas biegnie.

Od jakiego zatem gestu zaczyna się Eucharystia? Najczęściej dawana spontanicznie odpowiedź brzmi: *znak krzyża*. Nie jest to jednak prawdą. Najpierw ksiądz wraz z asystą, czyli wszystkimi, którzy mu towarzyszą, zmierza do ołtarza i składa na nim pocałunek.

Dobrze jest kilka razy powtórzyć sobie to niezwykle spostrzeżenie: początkiem spotkania z Panem na Jego uczcie jest pocałunek! W progu swojego domu On przytula każdego z gości i z miłością całuje. Z jaką radością i uwagą ci, którzy przyszedli na Eucharystię, powinni patrzeć, gdy w ich imieniu kapłan wita pocałunkiem Pana. Tak, Pana, gdyż ołtarz to nic innego jak jeden z wielu sposobów Jego obecności. Bóg czyni podobnie jak uniesiony szczęściem ojciec z przypowieści Jezusa: Rzuca się powracającemu dziecku na szyję i obsypuje go pocałunkami. Jego radość nie ma granic.

Jaką jeszcze prawdę odsłania przed nami znak rozpoczynający Eucharystię? Wszystko, co będzie się działo na ołtarzu, mamy traktować jako obecność Ukochanego. Nie przychodzimy na *jakieś tam nabożeństwo*, lecz po to, by spotkać Boga, który jest Miłością. Boga, który samego siebie oddaje w nasze ręce. Pocałunek ołtarza, składany przez kapłana w imieniu całej wspólnoty, jest wprowadzeniem w spotkanie Oblubieńca z Ludem, który jest uznany przez Pana za Jego Oblubienicę. Eucharystia to „Pieśń nad pieśniami”, miłość ponad wszelkie miłości, zjednoczenie ponad każdą jedność, spotkanie nieporównywalne z żadnym innym. Francois Varillon pisze: Pocałunek to bardzo piękny symbol miłości, gdyż jest znakiem wiary w dar i przyjęciem tego daru. Pocałunek nie może być naprawdę dany, jeśli nie jest przyjęty. Marmurowy posąg i martwe usta nie przyjmą pocałunku, usta muszą być żywe. A żywe usta to te, które dają i przyjmują równocześnie. Pocałunek jest wymianą oddechów, znakiem wymiany naszych głębi: moje tchnienie wnosi mnie w ciebie, a i ciebie w siebie wdycham w taki sposób, że jestem tobą, a ty jesteś mną (przeł. M. Książek).

Swoją drogą, jak szalenie trudno zrozumieć wymowę tego cudownego znaku komuś, kto nadużył go w swoim życiu: poprzez szczeniacką ciekawość, kiczowatą czułościowość albo łapczywość w poszukiwaniu nowych doznań.

Podczas Eucharystii nudzą się głównie ci ludzie, którzy nie złożyli razem z księdzem pocałunku: nie uświadomili sobie zaraz na początku, że stoją przed kochającym Bogiem. Msza będzie kiepskim teatrem dla każdego, kto nie poczuje się obdarowany miłością niosącą życie.

Trzeba mieć przebudzone pocałunkiem serce, aby zrozumieć znaczenie następnego gestu obecnego na początku Liturgii. Objawiająca się Miłość ma imię. Stajemy wobec Ojca, Syna i Ducha Świętego. Cała Trójca Święta jest zaangażowana w nasze zbawienie.

Słowo, zdławione przez śmierć, krzyczy swoim milczeniem na krzyżu, głosząc potęgę miłości Stwórcy do zagubionego stworzenia.

Każda Eucharystia jest spotkaniem z posłanym przez Ojca Jezusem, abyśmy wypełnieni Jego Duchem mogli powrócić jak dzieci do taty (imię *Abba*, które pozwala nam wypowiadać Duch Święty, oznacza właśnie czule, pełne bezpośredniości „tatusiu”).

Msza święta to przebywanie z Bogiem, który dał się nam poznać jako kochający Ojciec, bliski nam jednorodzony Syn i wewnętrznie przemieniający nas Duch Święty. Wypowiadając Imię Trójcy Świętej, mówimy do Boga:

Niech się stanie to, co zostało objawione w Twoim imieniu: Ojcze uczyni nas swoimi dziećmi, Jezu upodabniaj nas do siebie przez wszystkie dary, które przynosisz Ty, Duchu Święty!

Przychodzimy na Mszę świętą nie po to, aby się pomodlić, ani też by odprawić niedzielne nabożeństwo. Gromadzimy się, by wołać w Duchu Świętym do Ojca, błagając o Jego Syna, naszego Zbawiciela. Prośba ta zostaje wysłuchana, bo Jezus naprawdę przychodzi: najpierw

w Ewangelii, swojej Radosnej Nowinie, a potem w swoim Ciele i Krwi. Jezus przychodzi, ale Jego droga wiedzie przez krzyż, stąd właśnie ten znak na początku Mszy.

Znak krzyża

W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

Każdy początek jest szalenie ważny. Nasze duchowe nastawienie na samym początku Mszy świętej może zadecydować o tym, jak ją przeżyjemy. Pierwszy gest, pocałunek ołtarza, wprowadza nas w atmosferę miłości. Zaraz potem pojawia się znak, który każe nam porzucić wszelkie wyobrażenia o Mszy jako pewnym religijnym obrzędzie odprawianym wobec wielkiej, bezimiennej, Boskiej mocy. Mianowicie czynimy znak krzyża wypowiadając imiona Boga. Pryska anonimowość. Stajemy bowiem w obliczu kochającego nas Ojca, który daje nam się poznać przez swego Syna, a miłość i poznanie jest możliwe dzięki zamieszkującemu w nas Duchowi. A zatem już nie tylko miłość, ale miłość do Boga, którego znamy „z imienia”. Msza święta to przebywanie z Bogiem, który pragnie objawić się w naszym życiu jako kochający Ojciec, bliski nam jednorodzony Syn i wewnętrznie przemieniający nas Duch Święty.

Wypowiadając imię Trójcy Świętej mówimy do Boga:

Niech w nas również stanie się to, co zostało objawione w Twoim Imieniu. Ojcze, uczyn nas swoimi dziećmi. Jezu upodabniaj nas do Ciebie; niech się dokonuje ten cud przez wszystkie dary, które przynosisz Ty, Duchu Święty. Skoro jesteś Ojcem, pozwól stać mi się Twoim dzieckiem. Przez moc tajemnicy Syna udziel łaski uległości bez granic. W Duchu Twojej miłości pozwól kochać tą samą pełnią.

Podczas Mszy świętej Jezus przychodzi do nas, ale Jego droga wiedzie przez krzyż, stąd właśnie ten znak na początku Mszy. Gdy Bóg staje przed nami, nie jest to kurtuazyjna wizyta, podobna do odwiedzin towarzyskiego kolegi, który nie ma co zrobić z wolnym czasem. Aby doszło do spotkania z Panem, musiał On przebyć długą drogę przez wszystkie zasieki i przeszkody, jakie postawiliśmy pomiędzy sobą a Jego miłością. Ceną tej śmiertelnie (dosłownie) niebezpiecznej wędrówki jest krzyż, na którym oddał za mnie i za Ciebie swoje życie.

On wyrósł przed nami jak młode drzewo i jakby korzeń z wyschniętej ziemi. Nie miał On wdzięku ani też blasku, aby na Niego popatrzeć, ani wyglądu, by się nam podobał. Wzgardzony i odepchnięty przez ludzi, Mąż boleści oswojony z cierpieniem, jak ktoś, przed kim się twarze zakrywa, wzgardzony tak, iż mieliśmy Go za nic. Lecz On się obarczył naszym cierpieniem, On dźwigał nasze boleści, a myśmy Go za skazańca uznali chłostanego przez Boga i zdeptanego. Lecz On był przebity za nasze grzechy, zdruzgotany za nasze winy. Spadła Nań chłosta zbawienna dla nas, a w Jego ranach jest nasze zdrowie. Wszyscyśmy pobłdzili jak owce, każdy z nas się obrócił ku własnej drodze, a Pan zwał na Niego winy nas wszystkich. (Iz 54, 2-6)

"Pan z wami"

Słyszymy te słowa w odnowionej liturgii w wersji słowiańskiej. Po łacinie docierały do naszych uszu swojsko brzmiącym, zwłaszcza dla starszych ludzi: *Dominius vobiscum*. Utarło się nawet z tego często powracającego na Mszy sformułowania potoczne, zastępcze określenie księdza. Jak doświadczalne psy Pawłowa rezonujemy na dźwięk słyszanego wezwania absolutnie odruchowo wypowiedaną frazę: „I z duchem twoim”. Przez tę bezmyślność mijamy się z głęboką teologią wspólnoty, jaką zawiera ów dialog.

„Pan z wami” ma najpierw rozbić w drobny mak nasze czysto ludzkie spojrzenie na towarzystwo, w jakim przyjdzie nam spędzić najbliższą godzinę. Musi runąć nasze złe samopoczucie wynikające z faktu, iż obok nas siedzi „pan Kowalski”. Pan, o którym mamy bardzo złe mniemanie, ponieważ zaraz po Mszy wędruje do miejscowej „mordowni”, która to wizyta nastraja go nieprzychylnie do żony, dzieci i sąsiadów. Analogicznych „panów K.” jest zazwyczaj w Kościele więcej i fakt ten psuje nam podniosły nastrój nabożeństwa. Wstydu nie mają ci wszyscy i wszystkie „K”, żyjący na co dzień jak poganie, a odwiedzający, nie wiedząc po co, nasz kościół?! Rzecz jasna mamy pod ręką parę odpowiedzi wyjaśniających tę oburzającą

zagadkę „po co”? Niektórzy i niektóre „K” są ludźmi podatnymi na koniunkturalne zmiany. Był komuchem, kiedy się to opłacało, dzisiaj udaje pobożnisia. Inne wyjaśnienie to tak zwana „chęć pokazania się”, zaimponowania piskiem opon nowego samochodu na parafialnym parkingu bądź szalowymi ciuchami.

Nasze zniesmaczenie obłudą niechcianych gości na Liturgii dostaje po głowie wezwaniem: „Pan z wami”. Sam Bóg, nasz Zbawiciel, uznaje zgromadzonych w Kościele za „swoich”. Oznajmia przez kapłana, że jest tu obecny dla wszystkich, również dla tych, których gotowi byłibyśmy stąd wyprosić. Ksiądz proboszcz nie ma na pulpicie listy wiernych, do których skierowuje swe słowa: „Pan z tobą Alfredzie S. Bądź pozdrowiony wierny synu Kościoła. I z tobą Eugenio B. – Bóg docenia twoje zaangażowanie w Akcję Katolicką”.

Wszyscy ochrzczeni, którzy z wiarą, choćby „niewiarygodnie” ułomną, stają przed Bogiem, są święci. Takim tytułem obdarzał Paweł Apostoł chrześcijan w Koryncie, którzy jak wynika z innych fragmentów tego listu, mieli mocno nieświeże sumienia.

Pan jest z nami, aby z przypadkowych osób, zebranych w jednym miejscu uczynić wspólnotę. Chce nie tylko każdego z nas obdarzyć swoją uświęcającą miłością, ale sprawić, by dzięki tej łasce rozpoczęło się wielkie dzieło naszego powrotu do jedności.

Postawy braterskiej zaczynamy uczyć się podczas Eucharystii. Tu, gdzie nie ma równych i równiejszych. Nawet do księdza podczas Liturgii zwracamy się *per* „ty” (nie odpowiadamy przecież: „I z duchem proboszcza...”). W miejscu, gdzie zgromadził nas Pan, otrzymujemy jeden Chleb i tę samą Dobrą Nowinę. Nie jest przecież tak, że każdy z nas przyjmuje inny kawałek Chleba, ale wszyscy spożywamy z tego samego – z Ciała Jezusa. Stąd Paweł mówi: „Ponieważ jest jeden chleb, przeto my, liczni, tworzymy jedno Ciało” (1 Kor 10, 17). „Pan z wami” oznacza wyznanie Jezusa: „Jesteście moim Ciałem, Oblubienicą, której pozostaję wierny i o którą dbam”. Organizm, który tworzymy w Chrystusie, nie zawsze ma się dobrze. Jest trawiony przez choroby i w jego krwioobiegu dochodzi do wielu zatorów. Gromadzimy się wspólnie przed Bogiem, aby On mógł nas w Sobie jednoczyć. Aby uzdrawiał to, co zranione, i ożywiał wszelkie obumarłe komórki. Potrzebuje jednak naszego pragnienia, aby ten cud mógł się dokonywać. Na początku Eucharystii jesteśmy wezwani do przyjęcia siebie nawzajem jako braci i siostry ogarniętych obecnością jednoczącego nas Pana.

Popękane naczynie

Spowiadam się Bogu wszechmogącemu i wam bracia i siostry, że bardzo zgrzeszyłem myślą, mową, uczynkiem i zaniebdaniem: moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina. Przeto błagam Najświętszą Maryję, zawsze Dziewicę, wszystkich Aniołów i Świętych i was, bracia i siostry, o modlitwę za mnie do Pana Boga naszego.

Niech się zmiłuje nad nami Bóg Wszechmogący i odpuściwszy nam grzechy doprowadzi nas do życia wiecznego.

Warunkiem trwania i rozwoju miłości jest umiejętność mówienia *przepraszam*. Chodzi o sztukę dawania sobie nawzajem prostych znaków, które mówią: „Żałuję tego, co się stało. Wybacz, że cię zraniłem”.

Nie da się uniknąć pewnych drobnych czy poważniejszych zranień, bo jesteśmy ludźmi, a nie aniołami, ale można nie dopuścić, by przez te pęknięcia uciekała miłość. Bardzo często ludzie oddalają się od siebie dlatego, że nie umieją przyznawać się do popełnionych błędów.

Jak bowiem można budować wspólnie coś sensownego, gdy ma się świadomość omijanych problemów i spraw, które dzielą. Gdy czujemy się winni z jakiegoś powodu wobec bliskiego nam człowieka, ale sprawa nie została załatwiona, nie było żadnej próby rozmowy, wtedy raczej unikamy wspólnych spotkań. Z czasem nawet mała szczelina nie zaleczonych urazów może urosnąć do rozmiarów ogromnej obojętności. Tutaj właśnie, między innymi, należy szukać przyczyny łatwego opuszczania Mszy albo obojętnego w niej uczestniczenia. Stąd też ma ogromne znaczenie, aby szczerze na samym początku każdej Eucharystii, po pocałunku ołtarza i znaku krzyża, uznać przed Panem wszelkie braki i niedoskonałości w naszej miłości do Niego.

Chodzi o odkrycie, że jesteśmy popękany naczyniem, w które Bóg chce wlać swój drogocenny napój. Zanim to nastąpi, naczynie musi zostać uszczelnione i wytarte z kurzu. Taką właśnie rolę we Mszy świętej pełni akt skruchy, który wyraża się w spowiedzi powszechnej wszystkich zebranych w Kościele. Gdy mówimy „Panie zmiłuj się nad nami”, prosimy o dary Jego miłosierdzia: zarówno o zreperowanie uszkodzonego dzbanka, jak i wypełnienie go Bożym życiem.

Tam jednak, gdzie mamy do czynienia z nie tyle popękany, co całkiem rozbitym naczyniem, potrzebna jest dużo poważniejsza naprawa, która dokonuje się w sakramencie pojednania. Ręczne, precyzyjne sklejanie. Ilekroć świadomie czynimy szalony krok zerwania więzi wiary i miłości do Boga przez ciężki grzech, nadajemy się do gruntownej renowacji, dokonującej się w konfesjonale.

Uznaniu przed Bogiem własnych codziennych słabości i grzeszności towarzyszy gest bicia się w piersi. Dla zrozumienia wymowy tego znaku dobrze jest przypomnieć sobie chwilę, kiedy gwałtownie waliliśmy w drzwi czyjegoś domu, albo pokoju, bo ów człowiek był nam w danej chwili szalenie potrzebny. Podobnie w chwili, gdy usiłujemy stanąć w prawdzie przed Bogiem, potrzebna jest nam na gwałt wewnętrzna wrażliwość. Konieczne jest przebudzone, wyrwane z uspienia sumienie, czyli rzeczywiste przejście się naszymi brakami w miłości do Boga. Przy czym nie najważniejsze są tu uczucia, ale raczej jasna świadomość zaniedbań, bylejakości i lekceważenia w naszej wierze.

Szalenie istotnym warunkiem głębokiego spotkania z Chrystusem podczas Mszy jest dobrze przeżyty akt skruchy: wypowiedzenie pełnego żałującej miłości – *Przepraszam*, do Pana Boga.

"Chwała na wysokości Bogu"

Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli. Chwalimy Cię. Błogosławimy Cię. Wielbimy Cię. Wysławiamy Cię. Dzięki Ci składamy, bo wielka jest chwała Twoja. [...] Panie Boże, Baranku Boży, Synu Ojca. [...] Albowiem tylko Tyś jest Świąty, tylko Tyś jest Panem, tylko Tyś Najwyższy, Jezu Chryste, z Duchem Świątym w chwale Boga Ojca. Amen.

Mówimy niekiedy – „wyjść z siebie”. Stosujemy tę metaforę najczęściej w sytuacjach, kiedy puszcza nam nerwy i wpadamy w furję. Tracimy wtedy panowanie nad sobą i rzadko poczytujemy to sobie za cnotę. Inaczej jest z wielbieniem Boga. Tu również wychodzimy poza siebie. Jest to jednak świadome działanie, wyprawa z dobrze znanego własnego świata myśli pragnień, lęków, marzeń, nadziei w krainę Bożej Obecności. W odróżnieniu od zaślepienia gniewem, który wyrzuca nas na swojej niszczącej fali poza kontrolowaną przez nas przestrzeń, w uwielbieniu Boga otwierają nam się oczy. Widzimy więcej i z innej perspektywy. Uwalniamy się od siebie, aby powrócić na opuszczone przez chwilę stare śmieci jako inni, odmienieni ludzie. Na skrzydłach hymnu: „Chwała na wysokości Bogu” wzbijamy się ku Najwyższemu. On teraz jest w centrum naszej miłującej uwagi. On, który jest Panem, Barankiem zabitym dla naszego ocalenia, jednorodnym Synem Ojca, gładzącym grzechy, jedynym Świątym, Panem, Najwyższym, wraz z Duchem Świątym w chwale Boga Ojca.

Jedna z prefacji mszalnych podpowiada nam następujące słowa modlitwy:

Chociaż nie potrzebujesz naszego uwielbienia, pobudzasz nas jednak swoją łaską, abyśmy Tobie składali dziękczynienie. Nasze hymny pochwalne niczego Tobie nie dodają, ale się przyczyniają do naszego zbawienia przez Chrystusa Pana naszego.

Bóg spokojnie poradziłby sobie bez naszej czci. Nie jest bowiem monarchą łasym na lizusowskie pienia. My jednak bez uwielbienia Boga stajemy się ubożsi. Adoracja wprowadza nas w bardzo specyficzną sytuację, kiedy to możemy uwolnić się od nieustannej licytacji, kto z nas jest ważniejszy, bardziej czcigodny, zasłużony, dostojny. Mamy szansę odkryć prawdę, że wielkość każdego z nas rodzi się z wybrania i miłości Tego, który się nad nami pochyla. On bowiem, Wieczna Żywa Miłość, kocha i dba o stworzenie, podobne do kwiatu na polu, który rankiem jest zielony i kwitnący, a wieczorem więdnie i usycha. Pan, Jednorodny Syn Boga, Świąty, Ukrzyżowany Baranek poniża samego siebie, aby nas wywyższyć. Oto tajemnica wielkości i godności człowieka. Uczymy się jej, oddając chwałę Trójcy podczas Liturgii. W ten również

sposób odzyskujemy utraconą przez grzech chwałę. Stajemy się na powrót istotami, które swoje szczęście znajdują w dobrowolnie zaakceptowanej zależności od Stwórcy.

"Módlmy się"

Liturgia jest unikalnym połączeniem bierności i zaangażowania. Słowem, które opisuje ten paradoks jest „uczestnictwo”. Zakłada ono najpierw nasze wejście w coś, co jest większe i bardziej obiektywne niż nasze nastawienie i własny wkład. W pewnym sensie nie mamy wpływu na przebieg wydarzeń podczas Eucharystii. Następujące po sobie czynności zostały ukształtowane w historii, począwszy od Liturgii odprawianej w Świątyni Jerozolimskiej. Kolejność gestów, słów, symboli, cały ich biblijny background jest zapisem wielkiej przygody jaką było spotkanie Ludu z Bogiem. Liturgia jest dzięki temu największą i najpiękniejszą galerią arcydzieł, zgromadzonych przez wieki w jednej przestrzeni.

Niektóre ze „zbiorów” są wypożyczone od naszych starszych braci Żydów. Pierwsza Eucharystia była przecież oparta na paschalnej modlitwie Izraela, zwanej sederem.

Symbole, takie jak pokropienie wodą, ogień, kadzidło, są wspólnym, archetypicznym dziedzictwem całej ludzkości. Widzimy je zaprzęgnięte w modlitwę ludzi religijnych w wielu bardzo różnych tradycjach duchowych.

Wszystkie te elementy zostają wprowadzone do Liturgii jako ścieżki zbiegające się w jednym punkcie, którym jest Żywy Bóg. Nie są to byle jakie, raz przedeptane dróżki na skróty.

Wyznaczyli je ludzie, którzy, idąc za odruchem serca i oświeceni Boską mądrością, autentycznie podążali ku „Umiłowanemu swej duszy”. Kościół podczas Mszy nie proponuje nam przypadkowych modlitewnych formuł. Nie ma parafialnego rankingu na „modlitwę tygodnia”, która w dowód uznania była by odmawiana podczas Eucharystii. Zwracamy się do Boga słowami, które zrodziły serca świętych.

W ten sposób wezwanie wypowiedziane przez kapłana: „Módlmy się”, jest zaproszeniem do włączenia się w wielki hymn uwielbienia, prześlągania i prośby, który rozbrzmiewa echem wypełniającym wieki. Nie jesteśmy sami – ogarnia nas tajemnica miłości, w której uczestniczyło przed nami i nadal jest w niej obecnych wielu naszych braci i siostr z bardzo odległej i niedalekiej przeszłości.

Po wezwaniu przewodniczącego Liturgii zapada milczenie (przynajmniej tak być powinno). Jest to przestrzeń dla osobistego odnalezienia się w tym wielkim Słowie-Oracji, które nas zagarnia. Uczestnictwo ma się teraz wyrazić w zaangażowaniu poprzez przebudzenie własnego serca. Ma ono zacząć bić w harmonii z innymi. Aby włączyć się z pożytkiem w modlitwę Kościoła, musimy w samotności stanąć przed Bogiem, aby, tak jak potrafimy, wypowiedzieć wobec Niego naszą miłość, wiarę, pragnienia. Jest to czas na wzbudzenie intencji – przedstawienie Panu osób, spraw, które chcemy oddać w Jego ręce.

"Oto Słowo Boże"

Pismo święte to niezwykle pociągający świat, tajemniczy ogród, w którym przechadza się Pan. Kto raz znalazł się w tym świecie, niełatwo go opuści. Bogactwo owego ogrodu staje przed nami otworem, gdy podczas Eucharystii czytamy Księgę Życia.

Czym właściwie jest Biblia? Najpierw warto sobie uzmysłwić, że okres jej powstawania obejmuje kilkanaście wieków. Szmat czasu niewiarygodnej przygody, kiedy Bóg stopniowo odsłaniał swoją twarz w historii Ludu, który sobie wybrał. Wszystko zaczęło się właśnie od wybrania, propozycji, aby pójść razem w drogę: Izrael i jego Pan. W trakcie tej wędrówki

przez wieki ludzie pojmowali coraz więcej z tajemnicy Boga, który dawał się poznać poprzez to, co czynił i mówił. Ci o najwrażliwszym sercu, przekazywali przychodzącym po nich wszystko, co zdołali zrozumieć z wielkości, dobroci, miłosierdzia Tego, który ich prowadził jako Wierny Opiekun. Dokonywało się to najpierw poprzez słowo mówione, opowiadanie o dziełach Pana, a dopiero później w formie pisanej.

Zdumiewający jest fakt, że Bóg wydał swoją tajemnicę tak różnorodnej wrażliwości poszczególnych ludzi, pozostawiając im wolność wyrazu poznanej prawdy. Każdy z tych, których On wybrał, mówił czy pisał o odkrywaniu Bogu na swój sposób. Jedni czynili to opowiadając o ważnych, miłowych wydarzeniach z życia Ludu prowadzonego przez Pana: przymierze z Abrahamem, wyjście z Egiptu, wędrówka przez pustynię, zdobywanie Ziemi Obiecanej, narodzenie, życie, śmierć i zmartwychwstanie Chrystusa, dzieje Kościoła. Inni sięgali po fikcję literacką, aby za pomocą barwnych opowieści przekazać to, o czym zostali pouczeni przez Boga. Ludzie, których nazywamy prorokami, głosili usłyszane wprost od Pana słowa Jego pouczenia, miłosierdzia, gniewu z powodu czynionego zła, obietnic pełnych nadziei. Znajdziemy też w Biblii mnóstwo poezji, bo tam, gdzie jest miłość, musi pojawić się i wiersz.

Wiele kart Księgi pulsuje modlitwą, która jest najszerzej otwartym oknem do serca oświeconego wieczną prawdą.

Wszystkie te drogi ujawniania tajemnicy Boga, zwieńczone powstaniem jednej Księgi, były objęte Jego dyskretną i mocną opieką. Wszystko po to, by słowa zapisane w Biblii niosły najczystsza prawdę o Panu Bogu.

Raz jeszcze musimy uświadomić sobie, że ta właśnie Objawiona Prawda nie została wyrażona w jakichś naukowych terminach, ani nawet w formie tajemniczo-niezrozumiałego języka, do którego dostęp mieliby jedynie wybrani. Na kartach Biblii jest samo życie; ludzie rodzą się, walczą, kochają, zdradzają, przebaczą, płaczą, skaczą ze szczęścia, żenią się, wychodzą za mąż, mają dzieci, wreszcie spotyka ich śmierć. Te zwykłe i niezwykłe doświadczenia Bóg uczynił miejscem ujawniania tajemnicy swojego wewnątrzboskiego życia.

Nasze zrozumienie, zachwyt i posłuszeństwo Słowu Boga będą możliwe tam, gdzie nauczymy się go słuchać, pozostając wrażliwi na wydarzenia naszego życia. Gdy z większą uwagą będziemy śledzić to, co niesie codzienność, łatwiej dotrze do nas Światło. Bowiem i my jesteśmy prowadzeni przez Pana, a w trakcie tej drogi On stopniowo się nam objawia. Dla ludzi mających otwarte serca Biblia może stać się pomocą w spotkaniu Boga.

Bóg mówi do nas podczas Mszy świętej przez swoje Słowo. Przez wieki formowania się Biblii zatrudnił On tak wielu różnych pośredników swego Objawienia, aby dotrzeć do każdego, kto będzie szukał Prawdy, sięgając po tę niezwykłą Księgę.

Kazanie

Zbyt wielu katolików świeckich skarży się na jakość kazań, obciążonych moralizatorstwem i polityką, aby uznać te głosy za przejaw niezrozumienia „społecznej roli Kościoła” i chęci zamknięcia go w kruchcie. Głosy krytyki są świadectwem głodu Słowa Bożego. Słowa Jezusa: „Poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli” (J 8, 32) – nie odnoszą się przecież jedynie do prawdy o wymiarze społecznym chrześcijaństwa. Jak często, zresztą, pouczenia tego rodzaju z ambony mijają się z duchem Ewangelii i nauką Kościoła! Wiele kazań

w naszych kościołach choruje na „bieżączkę” – komentowanie tego, co aktualnie się dzieje w polityce, życiu społecznym. Nierzadko ten komentarz jest wypowiedziany w zjadliwym tonie i podszyty agresją.

Kaznodzieja nie może być człowiekiem podirytowanym, ale zatroskanym o duchowy rozwój swoich słuchaczy. Ludzie w mig rozpoznają, zarówno po tonie głosu, jak i doborze tematów, intencje księdza mówiącego kazanie: czy chce komuś „dokopać” czy coś wyjaśnić, pomóc w zrozumieniu, poprowadzić do wolności przez głoszenie prawdy Jezusa i Kościoła?

Dużą popularnością cieszą się w niektórych kościołach homilie typu „serial w odcinkach”. Kapłan podejmuje się przez jakiś czas wyjaśniać prawdy wiary: Credo, Przykazania, Sakramenty, Błogosławieństwa itp. Okazuje się, że takie Msze gromadzą największą ilość wiernych. Są oni przy tym wdzięczni, gdy mówi się prosto o najbardziej podstawowych rzeczach.

Dobór czytań mszalnych jest wielkim skarbem w odnowionej Liturgii. Stwarza on szansę rozwinięcia określonego tematu, wypowiedzianego przez Słowo Boże. Ludzie, wychodząc z kościoła, nie muszą zastanawiać się, „co ksiądz usiłował dziś powiedzieć”, lecz mają do przemyślenia jeden łatwy do nazwania wątek, ewangeliczną „perłę”. Jej blask może oświecać codzienność widzianą oczami Boga, interpretowaną w świetle Jego mądrości. Mówi On do każdego z nas:

Popatrz na swoje życie w nowy sposób: stań w tym miejscu, gdzie sprawy, z którymi się borykasz zyskują inny wymiar.

Myśli Boga nie są naszymi, uczymy się je pojmować niekiedy z wielkim trudem. Jesteśmy więźniami „mądrości tego świata”. Głoszone słowo podczas Eucharystii ma „moc burzenia dla Boga warownych twierdz” – naszych oporów, barykad stawianych Jego Mądrości i Miłości. Liturgia jest uprzywilejowanym miejscem dla ukazania się mocy Słowa. W niej bowiem łaska uobecnia, „zagęszcza” wszystkie chwile, kiedy Bóg przemawiał wśród znaków i cudów. Jeśli kapłan umie z pokorą włączyć się w ten rwący nurt Słowa – potężny jak kaskady wód spadające z gór – może spełnić rolę proroka:

Oto kładę moje słowa w twoje usta. Spójrz, daję ci dzisiaj władzę nad narodami i nad królestwami, abys wyrwał i obalał, byś niszczył i burzył, byś budował i sadił (Jr 1, 9-10.).

„Ziemskie”, często bardzo dalekie od Ewangelii myślenie musi runąć aby „na skale” powstawał nowy dom.

Co jednak zrobić, kiedy nasz lokalny kaznodzieja nie jest sługą Słowa, lecz niewolnikiem na przykład własnych politycznych preferencji. Sytuacja w wielu naszych parafiach będzie dopóty chora, dopóki nie stanie się czymś normalnym, że ludzie potrafią wyrazić osobiście księdzu brak własnej zgody na jego potępiające, podszyte agresją kazanie. Niejednokrotnie byłem świadkiem, jako uczestnik pielgrzymek hippisowskich, gdy jakiś długowłosy ostentacyjnie opuszczał Kościół, usłyszawszy bulwersujące go słowa. Hippisi w wielu sprawach mogą stanowić dobry przykład, jak żyć Ewangelią, powyższa jednak reakcja nie jest ewangeliczna. Ostatnio wszakże zdarza się coraz więcej podobnych sytuacji w polskich kościołach. W jednej z wielkomijskich parafii, skądinąd naprawdę sensowny kapłan, chlapanął na kazaniu, że elektorat pewnego lewicowego polityka, znajdujący się w tym Bożym domu, powinien klęczeć za pokutę przez całą Mszę. W tej samej chwili Kościół opuściło trzy czwarte ludzi. Nie wiadomo, czy wrócą jeszcze. To nie były mądre ani też potrzebne słowa

proboszcza, ale i ludzie zareagowali nie po chrześcijańsku. Dlaczego nie wybrali się do duszpasterza po Liturgii, żeby wyrazić mu swoją dezaprobatę i niezgodę na to, co powiedział? Otóż sprzeciw ewangelicznie rozumiany naprawdę różni się nieco od hippisowskiej kontestacji. Jest bowiem sposobem, w jaki okazujemy sobie w Kościele miłość. Mój brat ma prawo zgrzeszyć, natomiast ja mam obowiązek upomnieć go w trosce o niego samego i całą naszą wspólnotę.

Kiedyś słyszałem siedemnastowieczną historię o pewnym dominikaninie z Bochni, który na kazaniach wygadywał straszliwe rzeczy. Zła sława tych koszmarnych wyczynów kaznodziejskich dotarła do Krakowa, do tamtejszego klasztoru dominikanów. Jeden z mieszkających w nim braci wybrał się więc w drogę, a gdy po dwóch dniach dotarł na miejsce, dał po prostu z miłością w mordę swemu błędzemu konfratrowi. Ów natychmiast otrząsnął się z otumanienia, w jakie pozwolił się usidlić diabłu. Ta historia napisana jest w konwencji znanych anegdot o Ojcach pustyni i to powinno dać nam klucz do jej właściwej interpretacji. Podobne bowiem sytuacje „upomnienia braterskiego” (choć sama czynność rzadko była związana z pięściarstwem) zdarzały się i wówczas, a sedno sprawy tkwiło w długich kilometrach, które trzeba było pokonać. Stąd sam sposób powiedzenia, że „źle robisz” stawał się w oczywisty sposób darem miłości, nie zaś aktem wściekłości: „Szedłem z tak daleka do ciebie bracie, bo zależy mi na tobie”.

Przed wieloma z nas, zwłaszcza chyba jednak dotyczy to siostr i braci świeckich, stoi to niełatwe zadanie: „wybrać się w drogę”, aby upomnieć, sprzeciwić się, ilekroć ktoś usiłuje zamknąć nasz Dom na „cztery spusty”: lęku, agresji, podejrzliwości i pomówień. Ta droga jest naprawdę długa i mozolna: trzeba przebyć lęk przed gniewem, urażoną ambicją człowieka, który nie przywykł słuchać krytycznych uwag. Do przebrnięcia jest również własna niepewność, czy aby mi, przeciętniakowi, wolno mieć rację. Może faktycznie Dobrą Nowinę należy chronić w rękawicach bokserskich? Trud tej drogi polega także na zaufaniu, że Prawda nas wyzwoli. Że tylko na niej Kościół może z mocą wzrastać i ogarniać sobą świat. Bezpieczniej i wygodniej jest niekiedy robić swoje, ale Duch Święty przynagla nas do jedności. Ta zaś nie może opierać się na udawaniu, że się nie słyszy i nie widzi ewidentnych błędów.

Taka jest nasza wiara

Wierzę w jednego Boga, Ojca wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi [...]. I w jednego Pana Jezusa Chrystusa, Syna Bożego jednorodzonego, który z Ojca jest zrodzony przed wszystkimi wiekami [...]. Wierzę w Ducha Świętego, Pana i Ożywiciela, który od Ojca i Syna pochodzi [...]. Wierzę w jeden, święty, powszechny i apostołski Kościół. Wyznaję jeden chrzest na odpuszczenie grzechów. I oczekuję wskrzeszenia umarłych. I życia wiecznego w przyszłym świecie. Amen.

Któregoś roku na pielgrzymce hippisów pewien chłopak, lubujący się w prowokacjach, wyraził poważną wątpliwość co do realności istnienia subkultury „dzieci kwiatów”. Zrobiła się straszna burza. Ludzie jeden przez drugiego mówili: „Jak to nie ma, a my kim jesteśmy? Przecież mamy swoje zasady postępowania, swoje ideały: pokój, miłość, wolność”.

Tak już jest, że ilekroć ktoś zakwestionuje ważny wymiar naszego życia, coś bliskiego sercu, stanowi to mobilizację do jasnego sformułowania zagrożonych postaw i wartości. Gdy

człowiek nie jest zmuszony się bronić, nie troszczy się tak bardzo o nazywanie swoich ideałów. W bardzo podobny sposób reagowali chrześcijanie, gdy chodzi o ich stosunek do wyznawanych prawd wiary. Dopóki nikt nie podważał ich fundamentalnych przekonań, po prostu nimi żyli. Problem zaczynał się w momencie, gdy nagle ktoś powiedział: „Nie macie racji, wierząc w Chrystusa jako Boga, bo On wcale Bogiem nie jest. Błędnie interpretujecie Pismo. Moja lektura Objawienia jest właściwsza i dobrze zrobicie, idąc za wskazaniem, które daję”. W takim momencie wszyscy czuli, że ich tożsamość jako chrześcijan zostaje zachwiana. Stawali wobec doktryny, która w ewidentny sposób podcinała korzenie Ewangelii, za którą poszli. Natychmiast zwoływano sobór, aby jednoznacznie określić postawę Kościoła wobec pojawiającego się błędu i z mocą, ogłosić wyznawaną prawdę. Trzeba było czarno na białym stwierdzić: „Taka właśnie, a nie inna, była i jest nasza wiara!” Takich historycznych momentów w dziejach Kościoła było co najmniej kilka. W niniejszy sposób powstawał krótko i jasno sprecyzowany zbiór najistotniejszych prawd wiary, który zyskał miano chrześcijańskiego Credo. Ów zbiór znalazł swoje miejsce we Mszy świętej. Z euforii, uśpienia albo rozdrażnienia wywołanego kazaniem zostajemy wyrwani wezwaniem: „Wyznajmy naszą wiarę”. Ten moment, kiedy wypowiadamy najważniejsze prawdy naszej wiary, ma nam wyznaczyć azymut wędrówki za Bogiem, który nam się objawił w Chrystusie. Dzięki Credo bowiem wiemy, *jak* czytać i rozumieć Pismo Święte, prowadzące nas do Zbawiciela. Otóż ten skrót wiary jest jak mapa turystyczna w górach, która wyznacza właściwe i bezpieczne szlaki. Lektura Biblii nie może doprowadzić nas do uznania, że, na przykład, Pan Jezus nie jest prawdziwym Bogiem. Ta ścieżka w górach jest zwodnicza i kończy się przepaścią.

W taki sam sposób powinniśmy odsunąć na bok wniosek z osobistej lektury Biblii, który skłaniałby nas do myślenia o więzi z Jezusem jako czymś wyłącznie prywatnym. Bo przecież: „Wierzę w Kościół święty i świętych obcowanie”. Podobnie wszystkie fragmenty Biblii powinniśmy odczytywać w świetle chrześcijańskiego wyznania wiary, które jest dla nas nieomylnym drogowym wskazaniem do Bożej prawdy.

Credo nie znalazło się przypadkiem we Mszy świętej, która jako całość jest pieśnią uwielbienia i dziękczynienia wobec Boga. Gdy bowiem uroczyście wypowiadamy słowa zawierające najważniejsze prawdy wiary, to tak jak byśmy z radością oglądali mieniący się naszyjnik z najcenniejszych pereł podarowany przez Ukochanego. Jest on znakiem naszego wybrania, potwierdzeniem miłości Pana, Jego ślubnym prezentem. Przyjmujemy ów naszyjnik z Jego rąk i, jak obdarowana kobieta, zachwycamy się jego pięknem.

Na koniec jeszcze krótka anegdota. Kiedyś pewien starszy już ksiądz tłumaczył mi dlaczego Credo następuje właśnie po kazaniu:

Bo widzisz, nawet jeśli to, co wygłosi ksiądz, gruntownie zniechęciłoby cię do pójścia za Jezusem, to masz mocny punkt oparcia: Wiara Kościoła. Kiedy kaznodzieja nagada głupot, z ulgą wyznaj: A ja jednak wierzę w Boga Ojca wszechmogącego...

Modlitwa wiernych

Po wyznaniu wiary kapłan najczęściej wyciąga spod pulpitu ambony grubawą książkę z napisem: „Módlmy się wspólnie”, po czym odczytuje z niej prośby, które kilkanaście lat temu umieścili w owym dziele jego autorzy. Niektóre z wezwań bywają wręcz zabawne,

patetyczne i archaicznie brzmiące. Bardziej postępowi księża mają pod ręką świeżo wydaną pomoc-bryk, gdzie prośby są uaktualniane w każdym z roku na rok drukowanym skoroszycie. Całkowicie nowocześni duchowni zdobywają się na własne sformułowania intencji, co wymaga niemałej kreatywności, zważywszy że robią to codziennie.

W niewielu kościołach modlitwa wiernych jest po prostu modlitwą wiernych, czyli czasem, kiedy ludzie zebrani na Eucharystii mogą głośno wypowiedzieć swoje prośby, podjęte przez wszystkich uczestników Liturgii. Tak przeżywana modlitwa może być jednym z bardziej wspólnototwórczych momentów Mszy świętej. Chcę bowiem wprowadzić moich braci i siostry w sprawę, o które się troszczę. Chcę razem z nimi powierzyć je opiece Boga. Ktoś, kto przełamie bariery skrepowania i tremy, aby głośno wypowiedzieć swoją intencję, wychodzi z anonimowości tłumu; współtworzy Liturgię jako jej żywy uczestnik. Niejednokrotnie wiele osób w kościele odnajdzie w usłyszanej prośbie również własne problemy i troski. Z całą pewnością niektórzy gorliwiej odpowiedzą: „Wysłuchaj nas Panie”, wobec bliskiej ich sercu sprawy niż na przesłodzoną, upobożnioną i nienagannie gramatyczną formułę z książki.

Czy jest aż tak niepokonalną trudnością wystawić przed ołtarz mikrofon na użytek wiernych, którzy zechcą aktywnie współtworzyć moment Liturgii im właśnie przeznaczony? Wszędzie tam, gdzie udało się wprowadzić ów zwyczaj, osoby uczestniczące w Eucharystii podjęły zaproszenie włączenia się. Niekiedy – jako pierwszy etap wprowadzania nowego zwyczaju – można zaproponować proboszczowi wcześniejsze przygotowanie przez parę osób intencji, które wypowiedzą jako reprezentanci całej wspólnoty. Już jest to ważny krok w przełamaniu schematu Liturgii jako solowego występu kapłana.

Ofiara całego stworzenia

Warto sobie uświadomić dość oczywistą w sumie prawdę, że największe wzloty naszego ducha, najwspanialsze wyżyny mądrości, najbardziej imponujące szczyty intelektu są związane z całym ogromnym kosmosem, ze światem przyrody. Nie tylko myślimy, kochamy, modlimy się, ale również jemy, oddychamy, trawimy, wchłaniamy ciepło, krótko mówiąc funkcjonujemy jako żywe organizmy. Jesteśmy częścią przyrody, współtworzymy ją i dzięki niej istniejemy.

Ten współlistotny świat jest nam dany jako prezent, ale o tyle nietypowy, że wymaga z naszej strony dużych inwestycji. Każdy dzień jest podejmowanym na nowo trudem przetwarzania świata, w którym żyjemy. Cokolwiek znajduje się na naszym stole, w czymkolwiek my znajdujemy schronienie i bezpieczeństwo: ubranie, dom, światło, woda w kranie, jest owocem połączonych wysiłków przyrody i twórczej pracy człowieka.

Dlatego też, kiedy podczas Mszy świętej stajemy przed Bogiem, składamy Mu w ofierze nie tylko nasze serca, myśli, pragnienia, to, co duchowe, ale też wszystko, co nas materialnie, fizycznie współtworzy, a co z kolei w naszych rękach ulega przemianie. Gdy następuje moment ofiarowania, kapłan wznosi chleb i wino, wypowiadając słowa:

Błogosławiony jesteś, Panie, Boże wszechświata, bo dzięki Twojej hojności otrzymaliśmy chleb, który jest owocem ziemi i pracy rąk ludzkich; Tobie go przynosimy, aby stał się dla nas chlebem życia.

Następnie:

Błogosławiony jesteś, Panie, Boże wszechświata, bo dzięki Twojej hojności otrzymaliśmy wino, które jest owocem winnego krzewu i pracy rąk ludzkich; Tobie je przynosimy, aby stało się dla nas napojem duchowym. A zatem świat przyrody uczestniczy w naszym ludzkim spotkaniu z Bogiem. Nie wisi gdzieś obok jak roboczy drelich, którego używa się jedynie do gorszych, mniej szlachetnych robót. Bo to właśnie owoc ziemi i prac ludzkich zostanie przemieniony w Ciało i Krew Jezusa Chrystusa. Chleb i wino wezmą udział w niezwykłym wydarzeniu pełnego miłości zjednoczenia człowieka z Bogiem.

Tajemnica kropli wody

W momencie składania Bogu mszalnych darów ma miejsce niepozorny gest, pełen głębokiego znaczenia: mała kropla wody zostaje zmieszana z winem w kielichu. Staje się winem, zostaje w nie przemieniona.

Inaczej dzieje się, gdy czasem do kielicha wpadnie na przykład mucha. O ile uda się jej ująć z życiem, nadal pozostaje tym, czym była przedtem. Co najwyżej pachnie inaczej, ma skleione skrzydła i z lekka powiększony brzuszek. Kropla wody upodabnia się zaś do swojego nowego środowiska.

Jaka jest wymowa tej przygody, której doświadcza ta odrobina wody. Odpowiedź znajdziemy w słowach wypowiedzianych przez kapłana podczas opisanej czynności:

Przez to misterium wody i wina daj nam, Boże, udział w Bóstwie Chrystusa, który przyjął nasze człowieczeństwo.

Te słowa mówią najpierw o Panu Jezusie. Kiedy przyjął On ludzkie ciało, to naprawdę stał się człowiekiem. Nie jest tak, że Bóg odwiecznie istniejący przykrył się jedynie tym, co ludzkie: ciałem, temperamentem, charakterem, inaczej mówiąc był jak mucha pływająca w winie, ale On naprawdę jako Bóg stał się człowiekiem.

I to samo ma się teraz dokonać w drugą stronę. Człowiek ma stać się Bogiem. W chrześcijaństwie nie chodzi w pierwszym rzędzie o to, by być człowiekiem lepszym niż inni. Naszym powołaniem jest mieć udział w Bóstwie Jezusa Chrystusa. On właśnie po to przyjął nasze człowieczeństwo, by nas z sobą zjednoczyć. Po to zostaliśmy stworzeni przez Boga, żeby dzielić Jego życie, żeby Jego miłość przepływała przez nasze serca jak krew matki, która nosi w sobie poczęte dziecko. Nie jesteśmy jak karzełki, które niegdyś chował na swoim dworze potężny król, aby gdy ogarniała go nuda lub podczas przyjęć zabawiała go swymi wygłupami. My jesteśmy dziećmi Boga, dziećmi Króla, które mają udział we wszystkim, co do Niego należy.

A ta tajemnica dokonuje się właśnie podczas Mszy świętej. Przypomnijmy sobie jeszcze raz te ważne słowa: „przez to misterium wody i wina daj nam Boże udział w Bóstwie Chrystusa”.

Ilekoć więc przyjmujemy Komunię świętą, jednoczymy się z Bogiem. A jest to możliwe dlatego, że On wcześniej zechciał zjednoczyć się z nami w osobie Jezusa Chrystusa.

"Niech Pan przyjmie ofiarę"

Módlcie się, aby moją i waszą ofiarę przyjął Bóg Ojciec Wszechmogący. Niech Pan przyjmie ofiarę z rąk twoich na cześć i chwałę swojego Imienia, a także na pożytek nasz i całego Kościoła świętego.

Podczas Mszy ksiądz prosi swoich wiernych o różne rzeczy. W ramach ogłoszeń parafialnych zachęca do składania ofiar na naprawę dachu kościoła lub apeluje o zrobienie porządków wokół plebani.

Gdy zwraca się do zebranych w Kościele ludzi słowami: „Módlcie się, aby moją i waszą ofiarę przyjął Bóg Ojciec Wszechmogący”, prosi o sprawę nieporównywalnie ważniejszą niż bieżące problemy parafii. Wyznaje mianowicie przed swoimi braćmi i siostrami, że jest grzesznikiem niegodnym sprawować święte obrzędy. Że jest człowiekiem o nieczystych rękach, w których jednak z powołania Bożego ma zanieść przed oblicze po trzykroć Świętego ofiarę wspólnoty. Wierni zdają sobie sprawę, że ręce, które przedstawiają Bogu chleb i wino, mające stać się Ciałem

i Krwią Pana, nie są dłońmi świętego. W tym momencie wszyscy stają w prawdzie i wstawiają się za niegodnym sługą Jezusa Chrystusa.

Jeśli ktokolwiek z wiernych uczestniczących w Eucharystii na co dzień z niesmakiem opowiada o swoim duszpasterzu pikantne kawałki, jeśli w gronie znajomych ze zgorszeniem omawia szczegóły proboszczowskiej toyoty i szpanerskiej plebani, gdy chętnie słucha domysłów i plotek o czarnych i skwapliwie im wtóruje, to po słowach kapłana: „módlcie się, aby Bóg przyjął moją i waszą ofiarę”, powinien zmienić ton. Zamienić zgorszenie i plotkarskie frazy na modlitwę wstawienniczą. Będzie to szansa na zobaczenie w tym człowieku przy ołtarzu kogoś, kto, choć może nie dorasta do swojego powołania, jest mi dany przez Boga jako sługa. Potrzebuję jego rąk, aby dla mnie mocą Bożą sprawiał cud sakramentalnej obecności Pana. Aby Bóg przyjmował ofiarę z jego rąk „na cześć i chwałę swojego Imienia, a także na pożytek nasz i całego Kościoła świętego”. Jeśli zaczniemy przeżywać świadomie wstawienniczą modlitwę za kapłanów podczas Mszy, wówczas jest nadzieja, że znajdzie to swoje przedłużenie w codzienności. Jednym z powodów, dla którego ludzie odchodzą z Kościoła, jest całkowita zatura nadprzyrodzoności w spojrzeniu na duchownych. Możemy ocalić obraz księdza jako Bożego sługi tylko wówczas, kiedy się za niego modlimy.

Przy tej okazji warto sobie zdać sprawę, że jakość życia duszpasterzy zależy w niemałym stopniu od duchowego poziomu „owieczek”. Świętość lub grzeszność promieniuje na innych: pierwsza zapala do żywej wiary, druga powoduje duchową chorobę popromienną. Najbardziej mobilizuje księdza dojrzałość oczekiwań tych, którym służy. Jeśli ich obecność na Eucharystii to czysta formalność, coś z tej płycizny wiary udzieli się również kapłanowi. I odwrotnie. Bóg wzywa nas do wzajemnej odpowiedzialności za siebie w Kościele. Do świadectwa żywej wiary i otaczania jedni drugich modlitwą.

Dziękczynienie

Pan z wami. I z duchem Twoim. W górę serca. Wznosimy je do Pana. Dzięki składajmy Panu Bogu naszemu. Godne to i sprawiedliwe. Zaprawdę godne to i sprawiedliwe, słuszne i zbawienne, abyśmy Tobie, Ojczy Świąty, zawsze i wszędzie składali dziękczynienie...

Dzieci reagują na prezenty w dwojaki sposób: rzucają się na otrzymane, powiedzmy, puzzle i zaraz zaczynają je układać bądź rzucają się ojcu na szyję, po czym razem zabierają się do zabawy. Umiejętność dziękowania za to, co otrzymujemy, jest świetnym sprawdzianem, na ile kochamy darowane nam rzeczy, a na ile tego, kto je podarował.

Świat, w którym żyjemy, jest prezentem od Pana Boga. W nim żyjemy, korzystamy zeń, przetwarzamy go. Chodzimy po ziemi, oddychamy mniej lub bardziej zanieczyszczonym powietrzem, pijemy wodę, grzejemy się w słońcu. Jemy płody ziemi, a ci, którzy nie są wegetarianami również mięso. Przy odrobinie wrażliwości zachwycamy się górami, morzem, kwiatami. Jesteśmy obsypani Bożymi podarunkami.

I można korzystać z tego całego bogactwa, jak gburowaty żarłok, który pochłania wszystko, co jest na stole, potrząsając podwójnym podbródkiem.

Można jednak zachować się inaczej. Rzucić się na szyję Ojcu, który nas tak fantastycznie obdarował, i ukochać Go z wdzięczności.

Takiej właśnie postawy uczymy się na Mszy świętej. Okazją jest niemal każda chwila spędzona przy ołtarzu, ale szczególnie ten moment, który nazywa się modlitwą Eucharystyczną. Greckie słowo *eucharistein* oznacza właśnie dziękczynienie. Kapłan mówi: *W górę serca, dzięki składajmy Panu Bogu naszemu*. W górę serca – oderwijmy je na chwilę od niedzielного kotleta, który zaraz po Mszy zapachnie w naszej kuchni i pomyślmy o Tym, dzięki któremu ów kotlet może w ogóle zaistnieć.

Wiemy jednak że nie samym kotлетem żyje człowiek. Wznosimy więc serca jeszcze wyżej, aż do serca Boga, który uzdolnił nas do miłości. Tam widzimy również, że Boże serce zostało zranione przez nasz egoizm, zazdrość, nienawiść, że zostało zdruzgotane na krzyżu za grzechy świata.

Dziękujemy Mu za to, że pokonał te ciemności i zmartwychwstając przywrócił nam prawdziwe życie, które jest wieczne.

Te wszystkie niepojęte dzieła Boga opowiada modlitwa Eucharystyczna, która wprowadza nas w swój zachwyty zaproszeniem: *dzięki składajmy Panu Bogu naszemu.*

Święty

Święty, Święty, Święty, Pan Bóg Zastępów. Pełne są niebiosa i ziemia chwały Twojej. Hosanna na wysokości. Błogosławiony, który idzie w imię Pańskie. Hosanna na wysokości.

Bóg jest święty, stąd spotkanie z Nim powoduje w nas przerażenie. Dzieje się tak dlatego, że należymy do świata pełnego pomieszania tego, co piękne i kiczowate, dobre i złe, prawdziwe i fałszywe. Funkcjonujemy w świecie, w którym cofa się raz wypowiedziane słowo, w którym w imię miłości krzywdzi się innych ludzi. Pan Bóg zaś jest jednoznaczny, będąc krystalicznie czystym Dobrem, Miłością, Prawdą, Oddaniem. Musi nas przerażać Jego Świętość, bo nieustannie cofamy się przed jednoznacznym opowiedzeniem się za Miłością, Prawdą. Nasze życie (sądy, decyzje, odczucia) jest mało przejrzyste, stąd zaskakuje nas i onieśmiela Boskie Światło. Oczy nieprzywykłe do takiej jasności tracą zdolność postrzegania. Nie są w stanie ogarnąć absolutnego piękna. Światło staje się w nas mrokiem budzącym trwogę.

Równocześnie przeczuwamy, że jedynie życie święte, czyli nie po łebkach, nie w okraku pomiędzy „tak” i „nie”, może być spełnieniem. Dusimy się w oparach naszych kłamstw, obłudy, powierzchowności i niekiedy rozpaczliwie pragniemy świeżego powietrza prawdy. Zatruci skażoną wodą dwuznacznych słów spustoszonych przez nasz egoizm łakniemy czystej wody miłości. Stąd oprócz przerażenia rodzi się w nas fascynacja Bogiem, który jest klarowny jak górski strumień.

Świętość Boga nie ma w sobie choćby cienia wyniosłości wobec tego, co pomieszane i zmacone. Swojej bowiem wielkości nie zawdzięcza przytłaczającej innych mocy, megalomanii, pogardzie i potępieniu, usuwających to, co niższe i gorsze, w cień. Ten, który jest Panem wszechświata podejmuje służbę wobec bezradnych stworzeń. Świętość Boga można porównać do piękna matki oddanej bez reszty swojemu małemu dziecku. Jej miłość jaśnieje nad niemowlakiem poprzez proste czynności – przewijanie kąpiel, karmienie.

Najwyższy nie gardzi tym, co małe i pokorne. Uświadamiamy to sobie, gdy podczas Mszy śpiewamy hymn:

Święty, Święty, Święty, Pan Bóg Zastępów. Pełne są niebiosa i ziemia chwały Twojej. Hosanna na wysokości. Błogosławiony, który idzie w imię Pańskie.

Pan idzie do nas nie w przytłaczającej wielkości, ale poprzez proste, zwykłe rzeczy: chleb i wino. Jest bardzo blisko w swojej przejmującej odmienności od naszego poranionego grzechem świata, ale wkracza weń dyskretnie, jak potrafi to uczynić jedynie prawdziwa Świętość.

Przeistoczenie

BIERZCIE I JEDZCIE Z TEGO WSZYSCY: TO JEST BOWIEM CIAŁO MOJE, KTÓRE ZA WAS BĘDZIE WYDANE. [...] BIERZCIE I PIJCIE Z NIEGO WSZYSCY: TO JEST BOWIEM KIELICH KRWI MOJEJ, NOWEGO I WIECZNEGO PRZYMIERZA, KTÓRA ZA WAS I ZA WIELU BĘDZIE WYLANA NA ODPUSZCZENIE GRZECHÓW. TO CZYŃCIE NA MOJĄ PAMIĄTKĘ

Po zakończonych studiach, gdy wyjeżdżałem do mojej pierwszej parafii i rozstawałem się z przyjacielem, podarowałem mu na pamiątkę swoją starą Biblię. Był to szczególnie prezent: zawierał spory kawał mojego życia. Ta Księga stanowiła zapis wielu najważniejszych wydarzeń, poszukiwań, odkryć kilku ostatnich lat. Było w niej mnóstwo notatek, kolorowych podkreśleń, śladów podróży, w jakich mi towarzyszyła.

Jezus, odchodząc z tego świata, pragnął zostawić swoim przyjaciołom, uczniom, Pamiątkę, w której byłby obecny nie tylko fragment Jego życia, ale On sam. Uczynił to w iście Boski sposób. Skoro nawet w ludzkich prezentach jest w jakiś sposób obecny ten, który je daje – jego pamięć,

miłość, chęć podtrzymania relacji – to Pamiątka Pana zawiera Go w nieskończenie większej mierze. Kochające serce przemienia dar w tajemniczą, symboliczną obecność jednej osoby dla drugiej. Gdy jednak Serce Boga ofiarowuje Pamiątkę tym, których umiłowało, staje się Ona czymś już nie symbolicznie, ale realnie uobecniającym Jego samego. Ów cud dokonuje się podczas Eucharystii, kiedy to chleb i wino zostają przemienione w Ciało i Krew Chrystusa. Nie tracąc swych zewnętrznych właściwości, żyją już innym życiem – Duchem Pana, który w nich udziela siebie samego. Miłość, z jaką ofiarował swoje życie na krzyżu, zwycięstwo Zmartwychwstania w walce o naszą wolność, dar Ducha jako najbardziej wewnętrzna obecność w nas Trójcy zakochanej w człowieku – to wszystko ożywa i pulsuje pod postaciami darowanego nam Pokarmu. Jest to niepojęta tajemnica, równie nieskończenie zdumiewająca jak wszystkie „rzeczy”, które Bóg uczynił dla naszego zbawienia. Stworzenie świata z niczego, uniżenie Najwyższego przez Wcielenie i Krzyż, chwała Zmartwychwstania. Według świętego Ambrożego cud przeistoczenia dokonuje się wtedy, gdy „kapłan nie posługuje się własnymi zwrotami, ale używa słów Chrystusa. A więc sakramentu dokonują słowa Chrystusa. Jakie to są słowa? Mianowicie, które wszystko stworzyły. Na rozkaz Pana powstało niebo, ziemia, morze, zrodziło się wszelkie stworzenie. Widzisz więc, jak wielką moc działania posiadają słowa Chrystusa. Jeśli w słowie Pana Jezusa tkwi taka siła, że pod jego wpływem zaczyna istnieć coś, czego dotąd nie było, to tym bardziej jest ono w stanie sprawić, że rzeczy, które poprzednio istniały, zamieniają się w inne” (przeł. L. Gładyszewski).

Wielka tajemnica wiary

Gabriel Marcel, egzystencjalista, nawrócony na katolicyzm w wieku czterdziestu lat, dokonał w swojej filozofii rozróżnienia pomiędzy tajemnicą a problemem. Otóż problem to jakaś zagadka, której chwilowo nie potrafię rozwiązać. Na przykład nie wiem, jak zaprogramować wideo, na którym chcę nagrać ulubiony program w telewizji. Mogę jednak zapytać kogoś, kto potrafi obsługiwać to urządzenie i trudność znika. Dopóki człowiek nie rozwiąże jakiegoś tego typu problemu, jest rozdrażniony i niespokojny. Pamiętam film animowany, kiedy główny bohater, psotliwy kot, przez kilkanaście minut usiłuje dobrać się do puszki z mielonką, wyczyniając z nią najprzeróżniejsze rzeczy, dopóki nie dopiął swego.

Inaczej jest z tajemnicą. Nad nią w żaden sposób nie można zapanować. Nie da się jej oddzielić od siebie, przyjrzeć się wnikliwie i znaleźć rozwiązania. Jeżeli na przykład umiera mi ktoś bliski i pojawiają się dramatyczne pytania: „Dlaczego właśnie on, dlaczego teraz, tak młodo?”. Tych pytań nie stawia się w taki sam sposób, jak pytania o nieznaną słowo w krzyżówce. One angażują całego człowieka, przechodzą przez jego serce. Stawiają też jego własne życie w innym świetle, bo również nad sobą odkrywa cień śmierci.

Zaraz po przeistoczeniu kapłan ogłasza zebrany na Mszy: „Oto wielka tajemnica wiary!” Nigdy nie pojmiemy cudu, w którym uczestniczymy. Pochylając się nad tajemnicą Mszy świętej, musimy pamiętać, że nie rozwiązujemy religijnej zagadki i w związku z tym nigdy nie zawołamy triumfalnie: „Już wiem, o co tu chodzi!” Możemy jedynie odpowiedzieć:

Głosimy śmierć Twoją, Panie Jezu, wyznajemy Twoje zmartwychwstanie i oczekujemy Twego przyjścia w chwale.

Tajemnica Eucharystii nie da się rozstrzygnąć i oswoić. Możemy jedynie coraz bardziej pozwalać jej ogarniać i kształtować nasze życie. Rzecz w tym, by uczestniczyć coraz bardziej świadomie i pokornie w tej tajemnicy, a nie więcej mówić o niej powiedzieć.

Modlitwa wstawiennicza

Kiedy siedzimy razem na rodzinnym spotkaniu i cieszymy się sobą, wspominamy również tych, którzy z jakichś powodów są przy stole nieobecni. W gronie spotykających się przyjaciół padają imiona ludzi, których brakuje do kompletu. Czasem ktoś powie, że znany pozostałym człowiek pozdrawia wszystkich bardzo serdecznie.

Bardzo podobnie dzieje się podczas Mszy świętej, kiedy razem z Panem Jezusem, obecnym z nami w swoim Ciele i Krwi, wspominamy naszych bliskich w wierze. Zaraz po przeistoczeniu następuje modlitwa wstawiennicza. Modlimy się za papieża, biskupów, kapłanów, wszystkich naszych braci i wszystkie siostry, którzy rozsiani po całym świecie wierzą w Chrystusa i żyją Ewangelią. Wspominamy również tych, którzy już po drugiej stronie żyją w zjednoczeniu z Bogiem. Myślimy także o naszych zmarłych, którzy doświadczają spotkania z Panem, uzdalniającym ich przez oczyszczającą miłość do przebywania z Nim twarzą w twarz. Wszyscy razem w tej nieogarnionej jedności cieszymy się Bogiem, naszym Ojcem, który nas gromadzi, uzdrawia, napędza życiem. Jednocześnie jest to wstawiennicza modlitwa za cały Kościół. Jezus, który objawia swoją miłość poprzez ofiarę, jaką z siebie składa, prowokuje nas do skierowania tej miłości do każdego, kto jej potrzebuje.

To jest ważna lekcja dla nas. Msza jest spotkaniem braci i sióstr, tych których widzimy (czasem czujemy) obok w ławce, oraz wszystkich, którzy są gdziekolwiek indziej: na tym świecie bądź już u Pana, w Jego domu. Jako wspólnota chrześcijan, uczniów Jezusa, Jego przyjaciele, mamy o sobie pamiętać w modlitwie i dawać oparcie w miłości.

Doksologia

Przez Chrystusa, z Chrystusem i w Chrystusie, Tobie, Boże, Ojczy wszechmogący, w jedności Ducha Świętego, wszelka cześć i chwała, przez wszystkie wieki wieków. Amen.

Te słowa z Liturgii nasuwają skojarzenie z fragmentem Listu do Rzymian, gdzie Paweł pisze: O głębokości bogactw, mądrości i wiedzy Boga! Jakże niezbadane są Jego wyroki i nie do wysledzenia Jego drogi! Kto bowiem poznał myśl Pana, albo kto był Jego doradcą? Lub kto Go pierwszy obdarował, aby nawzajem otrzymać odpłatę? Albowiem z Niego i przez Niego, i dla Niego [jest] wszystko. Jemu chwała na wieki! (Rz 11, 33-36)

Zdumiewające są wszystkie dzieła Pana, niepojęte jest to, że cała Trójca Święta zaangażowała się dla zbawienia człowieka. Być może to są właśnie najodpowiedniejsze określenia wobec Bożych dzieł – niepojęte i budzące zdumienie. Święty Ignacy Loyola zaleca odbywającym ćwiczenia duchowe rozważanie tajemnicy, którą nazywa: „Naradą Trójcy Świętej”. Każde wyobrażać sobie rozmowę Ojca, Syna i Ducha Świętego dotyczącą sposobu odkupienia człowieka. Jezus Chrystus wypełnia plan zbawienia – to Jego posyła Ojciec, aby wypełnił wolę Trójjedynego Boga.

Wszystko, co czyni, jest realizacją odwiecznych zamiarów Stwórcy. W Chrystusie spełniło się marzenie Boga, aby ludzkość odzyskała utracone życie. Dlatego przez Niego, z Nim i w Nim oddajemy cześć i chwałę Ojcu Wszechmogącemu w jedności Ducha Świętego. Kończąc tę część Mszy świętej, która nazywa się Liturgią Eucharystyczną, „podsumowujemy” okrzykiem podziwu dzieła Boga, w których uczestniczyliśmy poprzez sprawowanie Pamiątki Pana. Teraz następuje bezpośrednie przygotowanie do przyjęcia Komunii świętej.

Ojczy nasz

Ojczy nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź Królestwo Twoje, bądź wola Twoja jako w niebie tak i na ziemi. Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj. I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom. I nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego.

Ostatnim etapem we Mszy świętej jest obrzęd Komunii. Ale każdy, kto pragnie przyjąć Ciało Pana Jezusa, musi się do tego porządnie przygotować. Przez kilka najbliższych rozważań zobaczymy, jakie struny naszego serca porusza Liturgia, aby otworzyć nas już bezpośrednio na spotkanie z Panem w Jego sakramentalnej obecności.

Najpierw zostajemy wezwani do najwspanialszej modlitwy chrześcijan, jaką jest Ojczy Nasz. Ta modlitwa mówi bardzo wiele o postawie, z jaką powinniśmy zbliżyć się do stołu, gdzie otrzymamy Eucharystię. Na początku mówimy słowa: „Ojczy nasz”, nie mówimy „mój Ojczy”, ale wspólnie jako Jego dzieci, rodzeństwo, wołamy z miłością do naszego Taty. Pan Jezus przypomina nam, że poprzez Komunię chce nas wzajemnie ze sobą jednoczyć, chce, byśmy

tworzyli jedno Ciało, Jego Ciało. On pragnie tchnąć swoje życie, swoją Obecność w tę konkretną wspólnotę, która gromadzi się w Kościele. Dzieje się tak, jak w proroctwie Ezechiela, kiedy suche kości zostają obleczone ciałem i ożywione duchem. Jezus obleka właśnie nas, spożywających Komunię, swoim Boskim Ciałem, byśmy stali się jednym Organizmem.

W niektórych kościołach ludzie podczas tej modlitwy biorą się za ręce, aby pomóc sobie zrozumieć i odczuć, że są razem jako rodzina.

Warunkiem jednak prawdziwej jedności jest wspólne uznanie Boga za najważniejszego dla nas. Tym, co nas łączy jako chrześcijan, jest postawienie na pierwszym miejscu samego Boga i Jego pragnień. Dlatego mówimy: „Święć się imię Twoje, przyjdź Królestwo Twoje, bądź wola Twoja”. Wspólnie również wierzymy, że Jego miłość zadba o nasze codzienne potrzeby, cieszymy się Jego czułą opieką, prosząc o „chleb powszedni” na każdy dzień.

Ale zdając sobie sprawę, jak bardzo w rzeczywistości jesteśmy podzieleni przez wzajemne urazy, wyrządzone sobie zło, prosimy Ojca, żeby uzdrawiał zranioną jedność przez wzajemne przebaczenie: „Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”.

Do Komunii przystępujemy nie tylko każdy na „własną rękę”, lecz jako wspólnota, aby umocnić naszą jedność w Panu. Pomaga nam w takiej postawie modlitwa Ojcie Nasz.

Oczekując przyjścia Pana

Co ważnego ma nam do powiedzenia Pan Bóg, gdy przygotowujemy się do przyjęcia Komunii świętej? Zaraz po modlitwie Ojcie Nasz kapłan prosi Boga słowami:

Wybaw nas, Panie, od zła wszelkiego i obdarz nasze czasy pokojem. Wspomóż nas w swoim miłosierdziu, abyśmy zawsze wolni od grzechu i bezpieczni od wszelkiego zamętu, pełni ufności oczekiwali przyjścia naszego Zbawiciela, Jezusa Chrystusa. Wspaniała modlitwa o to, by moc miłości, którą przyjmujemy w Eucharystii, zburzyła wszelkie moce ciemności, które w nas mieszkają. Warto sobie uświadomić, że zło, którego doświadczamy, gdy ukazuje ono swoją ponurą twarz, wynurzając się z naszego wnętrza, to nie tylko tak zwane złe uczynki, które nam się przydarzają. Jesteśmy uwikłani w tę mroczną tajemnicę o wiele bardziej, niż myślimy. To, co słowa Liturgii określają jako „zameł”, oznacza bezmiar splątanych intencji, dobrych i złych; całą mieszankę mądrości i głupoty, czystości i egoizmu, obecnych w naszym postępowaniu. I tej trującej mikstury nie potrafimy sami przedestylować i wyklarować. Nawet najgłębszy rachunek sumienia to jedynie błysk zapalki, mrugającej w ręku człowieka zagubionego w ogromnej puszczy ogarniętej nocą. W świetle tego płomyka możemy co najwyżej zobaczyć jeden z milionów splątanych korzeni, o który się potknęliśmy.

Dlatego właśnie, że jesteśmy tak nieszczęsnymi grzesznikami, prosimy Jezusa o Jego zbawienie. Od Niego jedynie oczekujemy pełnej wolności i wewnętrznego pokoju. W Komunii przyjmujemy Jezusa jako naszego Zbawiciela. I każda Eucharystia jest przybliżaniem się do spotkania Pana w Jego chwale, kiedy, przychodząc na końcu czasów, obdarzy nas pełną wolnością i niegasnącym światłem.

Każda Eucharystia ogarnia sobą przeszłość, aktualnie żywą dla nas, teraźniejszość spotkania z Panem oraz przyszłość – wieczną radość w Bogu, do której zmierzamy. Kapłan modli się słowami: „abyśmy [...] pełni nadziei oczekiwali przyjścia naszego Zbawiciela, Jezusa Chrystusa”. Przygotowując się do posiłku przy ołtarzu w naszym parafialnym kościele, przygotowujemy się do innej Uczty. Tej, która będzie trwała na zawsze w Domu Ojca. Tam, gdzie powrócimy z naszej wędrówki poprzez ten świat, aby *wolni od grzechu*, wszelkich wątpliwości, niepewności, *zamełtu* świętować na zawsze miłość naszego Boga.

Oczekiwanie przyjścia Pana, wraz z którym „przemienie ten świat”, nie oznacza bierności. Aby przygotować nadejście Królestwa, mamy czynić naszą teraźniejszość bardziej Bożą i bardziej ludzką. Już dzisiaj mając udział w wieczności poprzez Liturgię nie jesteśmy więźniami tego świata, nie jesteśmy zamknięci w granicach czasu. Nie oznacza to jednak manichejskiego dystansu do tego, co ziemskie. Kościół nie jest sektą oświeconych, którzy z pogardą odwracają się od współczesnych sobie ludzi, spraw, problemów. Obdarowani miłością na uczcie Ciała i Krwi jesteśmy wezwani do miłości *wcielonej* w teraźniejszość, w ten świat, aby oswajać się z

wiecznym ogniem, w którym spłonie wszystko, co miłością nie jest. Stąd Paweł wzywa Tesaloniczan doświadczających pokusy poddania się bierności wobec mającego nadejść wkrótce Dnia Pańskiego:

Pan niech pomnoży liczbę waszą i spotęguje waszą wzajemną miłość dla wszystkich, jaką i my mamy do was; aby serca wasze utwierdzone zostały w świętości wobec Boga, Ojca naszego, na przyjście Pana naszego Jezusa wraz ze wszystkimi Jego świętymi (1 Tes 3, 12-13).

Zachęcam was [...], abyście coraz bardziej się doskonalili i starali zachować spokój, spełniać własne obowiązki i pracować własnymi rękami, jak to wam nakazaliśmy. Wobec tych, którzy pozostają na zewnątrz, zachowujcie się szlachetnie [...] (1 Tes 4, 11-12).

Świat w Nowym Testamencie ma dwa znaczenia: cała ziemską i ludzką rzeczywistość umiłowana przez Boga oraz „świat” sprzeciwu ludzkiego serca wobec Boga i Jego Prawdy. Tęskniąc za *nowym niebem i nową ziemią*, mamy angażować się w ten świat jako chciany i kochany przez Boga, a równocześnie być „wolni od grzechu i bezpieczni od wszelkiego zamętu”. Tylko bowiem będąc świętymi możemy być użyteczni tej ziemi jako jej sól – pełna smaku.

Radość czekania na Boga

Jakiś czas temu rozmawiałem z osiemnastoletnią dziewczyną, która stwierdziła, że boi się myśleć o małżeństwie. Przeraza ją świadomość, że jej związek mógłby być tak martwy, jak to obserwuje u swoich rodziców. Jedno żyje obok drugiego, w atmosferze chłodnego przekonania, że nic się już nie zmieni w ich rodzinnej sytuacji. Nie liczą już na większe porozumienie, głębsze spotkanie. Taka sama apatia może paraliżować nie tylko relacje między ludźmi, lecz także naszą religijność. Chodzimy do Kościoła, odmawiamy pacierz, czasem się spowiadamy, mimo że nie spodziewamy się rozwiązania naszych duchowych dylematów, odpowiedzi na nurtujące pytania, ani też głębszego przeżywania wiary. Tacy właśnie, powątpiewający w szansę rozwoju miłości i wiary, jesteśmy. Wiele tekstów Pisma świętego, a także modlitw odmawianych podczas Liturgii, mówi o wzajemnym oczekiwaniu Stwórcy i stworzenia. O tęsknocie zdolnej sprowadzić Boga na ziemię. Słyszac je powinniśmy pragnąć przebudzenia z letargu rutyny naszych relacji z Bogiem i ludźmi. Abyśmy znów nauczyli się czekać... *na Boga*.

W wierszu, który Waław Oszajca zadedykował zmarłej Annie Kamieńskiej, jest prośba, modlitwa o dopełnienie „radości czekania, która była jej codziennym światłem”. Tym właśnie jest wiara: nie wyznaniową deklaracją, lecz „trawiącym ogniem” tęsknoty, wzbudzonej przez pierwsze przyjście Boga wkracza w życie człowieka, aby zapalić w nim pragnienie czegoś „więcej”. Nawrócony Augustyn mówił:

[Piękności Boga] Zawołałaś, rzuciłaś wezwanie, rozdarłaś głuchotę moją. Zabłysnęłaś, zajaśniałaś jak błyskawica, rozświetliłaś ślepotę moją. Rozlałaś woń, odetchnąłem nią – i oto dyszą pragnieniem ku Tobie. Skosztowałem – i oto głodny jestem, i łaknę. Dotknęłaś mnie – i zapłonąłem tęsknotą za pokojem Twoim (przeł. Z. Kubiak).

Izrael, wyzwolony z Egiptu, podążał za swoim Przewodnikiem i Wybawicielem ku wciąż większej obfitości Jego darów: Prawo, Ziemia Obiecana, Świątynia. Żył coraz wyraźniejszym i gorętszym oczekiwaniem na przyjście Mesjasza-Emmanuela. Naród Wybrany stał się Oblubienicą z Pieśni nad pieśniami, poszukującą „kochanki swej duszy”. Jej głos słyhać w słowach proroków. „Obyś rozdarł niebiosy i zstąpił!”, wołał prorok Izajasz.

Kościół, tworząc Jedno Ciało z rozpoznanym i przyjętym Chrystusem, oczekuje ostatniego przyjścia swojego Pana. Pragnie, aby czas się wypełnił, by nieodwołalnie i bez reszty zjednoczyć się z Panem. Z mroków wiary, które nieuchronnie towarzyszą naszemu spotkaniu z Bogiem w doczesności, rozlega się wołanie: „Maranatha, przyjdź Panie Jezu!”

Jeśli taka tęsknota nie jest obecna w naszej modlitwie, jeśli nie potrafimy się odnaleźć w oczekiwaniu, które widzimy w sercach ludzi mówiących do nas słowami Biblii, potrzebujemy uzdrowienia i nawrócenia. Na ile nasza modlitwa, przyjmowane sakramenty, postępowanie są *rozjaśnione radością czekania*; wychodzeniem naprzeciw Temu, który chce wprowadzać w nasze życie swoje bezgraniczne „więcej”? Czy jesteśmy gotowi uczyć się wiary wpatrzonych w obietnice Boga i cierpliwiej wobec sposobów, w jakie On zechce je spełniać?

Czekanie na człowieka

W opowieściach Ojców pustyni znajduje się urzekająca historia: Dwaj mnisi wyruszyli do miasta, aby tam sprzedać swoje kosze i liny. Na miejscu rozdzielili się, o określonej zaś porze mieli się spotkać przy bramie. Na umówionym miejscu pojawił się tylko jeden, drugi bowiem wpadł w sidła miejscowej rozpustnej kobiety. Załamany grzechem, który popełnił, postanowił nie wracać na pustynię i zamieszkać z ową niewiastą. Drugi brat cierpliwie czekał, a gdy ktoś mu doniósł o tym, co się stało z konfratrem, zawołał: „Jak możesz wygadywać takie rzeczy o moim bracie”. Czekał u bram miasta kilka miesięcy. Któregoś chłodnego wieczoru upadły mnich przechodził tamtędy z konkubiną. Anachoreta wstał z ziemi i zawołał: „Nareszcie jesteś!”. Ten, poruszony do głębi, wstrząśnięty wytrwałością i delikatnością brata, zrzucił z siebie bogate szaty i razem wrócili do pustelni.

W jak wielu małżeństwach oczekiwanie jednej ze stron uratowało jedność związku lub współmałżonka. Alkoholicy z grup AA opowiadają, jak ogromną motywację stanowi to, gdy druga strona zechce dać kolejną szansę. Podobnie jest z dziećmi. Do dziś pamiętam sytuację sprzed lat, kiedy nastoletnia uciekinierka z domu zanosila się płaczem, ponieważ rodzice nie dawali żadnego znaku, że są zainteresowani jej losem. Telefon do matki, która powiedziała: „Przyjeżdżaj, martwimy się o ciebie”, spowodował decyzję o powrocie.

Sztuka czekania to również zgoda, aby ludziom, których upominamy, prosimy, ostrzegamy, ponieważ zależy nam na nich, dać czas na odpowiedź. Nie pozwalać sobie na zbyt łatwe zniecierpliwienie brakiem oczekiwanych zmian i próbę ich wymuszenia. Chociażby przez nieustanne „suszenie głowy” pod tytułem: „Ile razy ci mówiłem, żebyś...”, co nawet świętego może wyprowadzić z równowagi oraz uczynić zagorzałym wrogiem proponowanej mu cnoty. Manipulacja uczuciami też bywa bronią niecierpliwości. Pewien „zapalony” przeciwnik palenia powiedział swojej narzeczonej: „Albo ja, albo papierosy...” Innym sposobem manipulacji może być wzbudzenie poczucia winy czy zazdrości. („Niech no drań zobaczy, że inni potrafią należycie docenić jego żonę”).

Kto umie czekać, odżegnuje się od tego rodzaju kroków. Woli cierpliwie wysłać dyskretne sygnały, nie tracąc nadziei na poprawę stanu rzeczy.

Cierpliwość jest konieczna w sytuacjach ostrych konfliktów, pozostawiających urazy i złe wspomnienia. Nawet jeśli sami mamy dobrą wolę powrotu do normalności, nie powinniśmy zniechęcać się, gdy brakuje jej u drugiej strony: Pojednanie zakłada konieczny czas, niekiedy bardzo dużo czasu. Nie mamy żadnego prawa domagać się, żeby ci, którzy cierpieli przez nas, odpowiedzieli natychmiast na wyrażoną skruchę i wyciągniętą rękę. Potrzebują na to czasu, a my umiejętności czekania, brania pod uwagę rytmu, w jakim ludzie dojrzewają do przebaczenia. Uczymy się czekania na ludzi, liczenia się z ich powolnym niekiedy tempem dorastania do podjęcia proponowanego im dobra, kiedy patrzymy na mądrą cierpliwość Boga względem nas. W trosce o nasze zbawienie potrafi zawsze uwzględnić możliwości człowieka i czas potrzebny do dojrzałej odpowiedzi. Dzieje się tak w skali całej historii zbawienia i naszej osobistej. Objawienie pełnej prawdy o nas i o Bogu nie dokonało się nagle i w krótkim czasie, lecz stopniowo, adekwatnie do naszej gotowości jej przyjęcia. Z Wcieleniem czekał Bóg ponad tysiąc lat od momentu powołania Abrahama.

Bóg umiał czekać nieskończoną ilość razy na powrót swoich synów. Przypowieść o miłosiernym ojcu, który wybiega na przeciw marnotrawnemu synowi, to Dobra Nowina zarówno Starego, jak i Nowego Testamentu (por. Łk 15, 11-32). To również fakt, który wielu z nas stwierdza na własnej skórze, doświadczając Jego mądrej pedagogii i cierpliwości.

Wreszcie, Pan powstrzymuje swe ostateczne przyjście, ponieważ czeka na nasze nawrócenie: Nie zwleka Pan z wypełnieniem obietnicy – bo niektórzy są przekonani, że Pan zwleka – ale On jest cierpliwy w stosunku do was. Nie chce bowiem niektórych zgubić, ale wszystkich doprowadzić do nawrócenia (2 P 3, 9). Oczekujemy Twego przyjścia w chwale. Oczekujemy na siebie nawzajem.

Dar pokoju

Panie Jezu Chryste, Ty powiedziałeś swoim Apostołom: Pokój wam zostawiam, pokój mój wam daję. Prosimy Cię, nie zważaj na grzechy nasze, lecz na wiarę swojego Kościoła i zgodnie z Twoją wolą napełnij go pokojem i doprowadź do pełnej jedności. Który żyjesz i królujesz na wieki wieków. [...]

Pokój Pański niech zawsze będzie z wami. [...]

Przekażcie sobie znak pokoju.

Współczesna psychologia pomogła nam jasno nazwać jedno z najistotniejszych źródeł zatruwających nasze życie nerwic. Jest nim lęk przed odrzuceniem. Jeżeli rodzice nie okazują swojemu dziecku wystarczająco dużo miłości, akceptacji, bezinteresowności, mogą obudzić w nim niepokój, że nie zasługuje na ich miłość. Jeśli syn czy córka będą słyszeć słowa: „Jak nie będziesz grzeczny, to mamusia nie będzie cię kochać”, może coraz silniej przeżywać poczucie zagrożenia, myśląc: „Nie jestem w stanie wywalczyć sobie miłości rodziców”.

Tacy ludzie muszą czasami czekać wiele lat, aby spotkać kogoś, kto ukocha ich na tyle mocno i bezinteresownie, że przełamie skurcz lęku oraz poczucia przegranej w walce o upragnioną miłość. Tuż przed momentem Komunii świętej Liturgia wprowadza nas w modlitwę o pokój. Następnie kapłan przekazuje pokój Jezusa słowami: „Pokój Pański niech zawsze będzie z wami”, i prosi o wzajemne udzielenie sobie otrzymanego daru przez jakiś gest.

Możliwość przyjęcia Ciała Pana Jezusa to wejście w bezmiar Bożej bezinteresowności. On oddaje każdemu z nas całe siebie i bynajmniej nie żąda w zamian doskonałej nieskazitelności. Oddaje się ludziom słabym, oczekując jedynie, aby tej słabości nie próbowali ukrywać i usprawiedliwiać, lecz wyznali ją przed Nim. Ten największy dowód miłości, która nie limituje siebie w zależności od zasług, może wypełnić nasze serca głębokim pokojem. Może uwolnić nas od lęku przed odrzuceniem.

Dar ów ma się stać udziałem wszystkich, którzy otaczają ołtarz. Jedni drugim okazujemy braterską miłość, która cieszy się drugim człowiekiem, zanim zechce go zmieniać. Tak zaczyna się prawdziwa jedność: gdy stajemy się wolni od lęku przed wzajemnym osądzeniem i potępieniem.

W obliczu największej miłości możemy doświadczyć kojącego pokoju, którym dzielimy się pomiędzy sobą.

Misterium życia i śmierci

W kulturze semickiej rozdzielenie ciała i krwi oznacza śmierć biologiczną. Znak takiego rozdzielenia, a więc znak prawdziwej śmierci, pojawia się również na Mszy świętej, gdy Jezus daje się nam oddzielnie pod postaciami chleba i wina. Eucharystia nie jest jednak wspomnieniem Wielkiego Męczennika, który wierny głoszonym ideom nie waha się za nie umrzeć. Jezus Chrystus nie tylko doświadczył męki, ale i zmartwychwstał – pokonał śmierć, z którą się starł na krzyżu. Na rzeczywistość Jego zmartwychwstania, zwycięstwa nad śmiercią, wskazuje jeszcze jeden symbol liturgiczny, który dokonywany jest przez celebransa: wrzuca on kawałek Ciała-chleba do kielicha z Krwią-winem – łączy Ciało i Krew Chrystusa. Doświadczenie uczy, że świeccy uczestnicy Eucharystii nawet nie zauważają tej czynności, zwykle zajęci przekazywaniem sobie znaku pokoju, nie słyszą towarzyszących jej kapłańskich słów, przechodząc do intonacji „Baranku Boży”. Przejście Chrystusa do życia, Zmartwychwstanie, nie skupia na sobie uwagi uczniów!

A oto słowa, które towarzyszą symboliczno-liturgicznemu powrotowi Zbawiciela do życia: Ciało i krew naszego Pana Jezusa Chrystusa, które łączymy i będziemy przyjmować niech nam pomoga osiągnąć życie wieczne.

Ślady tej liturgicznej czynności spotykamy w V wieku w Rzymie. Ów kawałek Hostii pochodził z Eucharystii sprawowanej przez samego biskupa. Chodziło o podkreślenie, że zawsze sprawujemy jedną i tę samą Ofiarę Pana. Nie jest tak, że za każdym razem dokonuje się jeszcze raz – na zasadzie powielania – Pascha Chrystusa. Zawsze dokonuje się jeden raz dokonana w historii

Ofiara Zbawiciela. Liturgia zaś pozwala nam w niej – dziś żyjącym ludziom – uczestniczyć. Duch święty „zawiesza” czas i prowadzi do stołu, gdzie możemy się karmić pełnią łaski, jakiej udziela śmierć i Zmartwychwstanie Jezusa. Tu spożywamy Posiłek, który pomaga nam osiągnąć życie wieczne.

Łączenie Ciała i Krwi Jezusa możemy również zobaczyć jako skierowaną ku nam żywą przypowieść o powrocie do jedności w nas samych i pośród nas tego, cośmy niemądrze porozdzielali ku własnej i innych zgubie. Gdy, na przykład, oddzielamy prawdę od dobra, celebруем śmierć pośród siebie. Dobro bowiem zawsze musi kierować się prawdą, aby służyło komukolwiek. Podobnie źle się dzieje, gdy odseparowujemy seks od odpowiedzialności; moralność chrześcijańską od łaski, sprawiedliwość od miłości; wiarę od uczynków. Nie daje życia stawianie fałszywych alternatyw: spontaniczność albo sztywniactwo, autentyczna wiara poza strukturami Kościoła albo faryzeizm w Kościele. Życie powraca tam, gdzie umiemy odkryć konieczność połączenia pozornie przeciwstawnych sobie rzeczywistości.

Baranek pełen mocy

Bóg, który nam się oddaje w Eucharystii, jest zarazem potężny i łagodny. Nie musimy się Go bać, a zarazem wiemy, że mogą się Go lękać wszelkie moce ciemności. Przed samą już Komunią świętą modlimy się słowami:

Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata zmiłuj się nad nami [...], obdarz nas pokojem.

Co to za wspaniała prawda o naszym Bogu, który jest tak samo pełen mocy, jak łagodności.

Delikatny Baranek druzgoczący potęgę zła. Nie przytłacza swoją mocą, ale przychodzi w lekkim powiewie swojej dyskretnej miłości. Potrafi jednak tą miłością stawić czoła władzy grzechu i śmierci, które się w nas rozpanoszyły.

Nie mogła dokonać oczyszczenia ludzkich sumień krew zwierząt ofiarowywanych w Świątyni Jerozolimskiej. Dokonywało się to na mocy nakazów Prawa, które jednak, jak pisze autor Listu do Hebrajczyków, stanowiły „przepisy dotyczące się ciała, nałożone do czasu naprawy” (Hbr 9, 10). Baranek Boży zdobył dla nas „wieczne odkupienie. Jeśli bowiem krew kozłów i cielców oraz popiół z krowy, którymi skrapia się zanieczyszczonych, sprawiają oczyszczenie ciała, to o ile bardziej krew Chrystusa, który przez Ducha wiecznego złożył Bogu samego siebie jako nieskalaną ofiarę, oczyści wasze sumienia z martwych uczynków, abyście służyć mogli Bogu żywemu” (Hbr 9, 12-14).

Bóg, który się z nami spotyka, nie paraliżuje swoją wielkością. Porównanie Go do Baranka może nam pomóc polubić Jezusa, który jest piękny, ciepły, delikatny. Nie ma w Nim przemocy i gwałtu. W spotkaniu z człowiekiem nigdy nie złamie jego wolności.

Jest On podatny na zranienie. Dał się poprowadzić na zabicie za nasze grzechy. Zamiast je potępiać, zaniósł na krzyż, a Jego śnieżnobiałe runo zabarwiła krew. W taki właśnie sposób zgładził grzechy świata. Nie ma większej potęgi nad miłość, która dyskretnie składa ofiarę za ukochanego człowieka.

Ciało tego Baranka przyjmujemy jako pokarm, aby Jego czuła i pełna mocy miłość odniosła w nas zwycięstwo: „Jeżeli nie będziecie spożywali Ciała Syna Człowieczego i nie będziecie pili krwi Jego, nie będziecie mieli życia w sobie” (J 6, 53). „Słowa te, pisze Orygenes, wypowiada prawdziwy Baranek, Baranek, który naprawdę gładzi grzech świata. Ten, który sam jeden poniósł śmierć, aby cały rodzaj ludzki został ocalony”.

"Nie jestem godzien"

Cała liturgia Mszy zmierza do zjednoczenia się z Bogiem w Komunii świętej. Kiedy wreszcie ma nadejść ta chwila, modlimy się słowami:

Panie nie jestem godzien, abys przyszedł do mnie, ale powiedz tylko słowo, a będzie uzdrowiona dusza moja.

Dla wielu ludzi słowa „nie jestem godzien” oznaczają: „Nie przyjmę Jezusa w Komunii, bo już dawno nie byłem u spowiedzi”. Nie wynika z tego bynajmniej, że natychmiast udadzą się po przebaczenie w sakramencie pojednania. Jest to zachowanie podobne do człowieka, który mówi:

„Nie poproszę po raz kolejny mojego przyjaciela o pomoc, bo nadużyłem jego zaufania”. Zamiast załatwić ten stary problem i naprawić zło, na nowo odbudowując przyjaźń, taki człowiek utrwała chorą sytuację i w imię fałszywie rozumianej lojalności nie prosi o potrzebną pomoc.

Fatalnie rozumiana „niegodność” w obliczu oddającego nam się w Eucharystii Jezusa, ma miejsce również wtedy, gdy ktoś czuje się zbyt mało święty, żeby przyjąć Komunię. No niby nic tak bardzo złego nie zrobiłem, ale przecież tyle we mnie słabości, złych nawyków, złośliwości wobec innych. Jak mogę taki niedoskonały spożyć Ciało Jezusa?”. To jest postawienie sprawy na głowie. Bo właśnie *dlatego, że jestem słabym grzesznikiem, mam przyjąć Chrystusa w Jego świętości i mocy*. Istnieje zależność między Eucharystią i sakramentem pojednania. Nie działa ona tylko w jedną stronę, to znaczy: Muszę najpierw wyznać grzechy, aby móc spożyć Ciało Chrystusa.

Zależność ta jest wzajemna! Im częściej i z większą miłością karmię się Komunią, tym dobitniej, uczy doświadczenie niejednego wierzącego, dostrzegam moją grzeszność. Obecność

Eucharystycznego Chrystusa w moim sercu jest jak snop światła, który pozwala zobaczyć mroki własnej niewierności, kompromisów z grzechem, odmowy duchowego wzrostu. Wówczas dużo bardziej precyzyjnie potrafię wyznawać swoje winy podczas spowiedzi, ale także z większą skruchą i pokorą jestem w stanie powierzać Bogu codzienne zaniedbania i słabości. Moje sumienie staje się bardziej odporne na jakże często irracjonalne „poczucie niegodności” wobec zaproszenia do spotkania z Jezusem w Komunii. Umiejętnie odróżniam sytuację ciężkiego grzechu, który tylko zasadnie zamyka mi drogę do Eucharystii, od szarzyzny codziennych przewinień, które tej drogi nie zamykają, chociaż kładą na niej pomniejsze przeszkody.

Trzeba koniecznie zerwać z myśleniem, jakoby sam czas upływający od ostatniej spowiedzi magicznie czynił mnie niegodnym przyjęcia Ciała Chrystusa. Szkodliwy i niemądry jest zwyczaj odstępowania od praktyki Komunii jedynie dlatego, że minęło kilka tygodni od bożonarodzeniowego lub wielkanocnego pojednania z Bogiem w sakramencie pojednania.

Prawdziwy respekt i powaga wobec tego niezwykłego wydarzenia mojego zjednoczenia z Bogiem nie mogą więc polegać na odmowie przyjęcia tego daru w imię swoich grzechów. One są po to, żeby oddać je Panu w spowiedzi, a wszelkie ich pozostałości powierzyć Jego uzdrawiającej miłości poprzez skruchę serca.

Kiedy mówimy: „Panie, nie jestem godzien”, powinniśmy przeżywać te słowa jako przypomnienie, że uczestniczymy w porażająco wspaniałej tajemnicy. Ja, człowiek z krwi i kości, chodzący po ziemi, mam wejść w Nieskończoność samego Boga. Mam się zanurzyć w oceanie Jego świętości i miłości, aby w nim utonąć, umrzeć i na najgłębiej ukrytym dnie odnaleźć nowe, Jego własne życie. Mam się stać świątynią Najwyższego, Jego domem. Jestem zaproszony do dzielenia życia z moim Stwórcą i Panem wszechświata. Ojciec wprowadza mnie, słabego człowieka, do swojego serca, abym tam zamieszkał i by w moich żyłach popłynęła Jego Krew. Taki cud nie może być traktowany jako banalna, tuzinkowa czynność, jak na przykład zjedzenie lodu. I właśnie dlatego, świadomi ogromu wciągającej nas Tajemnicy, modlimy się z miłością i powagą: „Panie nie jestem godzien, abys przyszedł do mnie, ale powiedz tylko słowo, a będzie uzdrowiona dusza moja”. „Dzięki Tobie całe moje życie zostanie zbawione, uratowane i przemienione”.

Komunia - codzienność ubrana w Miłość

Co sprawia, że u tak wielu katolików znika głód Ciała Jezusa? Jednym z powodów jest nasza mentalność, która każe nam pojmować miłość jako wydarzenie spektakularne. Eucharystia jako tajemnica przychodzącej do nas miłości Pana nie ma w sobie żadnej z tych pożądaných przez nas cech.

Chleb, który spożywamy jako sakrament obecności Jezusa, wprowadza nas w tajemnicę prostoty. Dzielony bochenek pomiędzy zgromadzonymi przy jednym stole to szalenie wyrazisty gest miłości rodzinnej. Miłości, która jest codzienna, domowa, szara. Czy umiemy tak właśnie kochać? Dużo bardziej jesteśmy spragnieni szalonych uczuciowych doznań, porywów serca, romantycznych zachodów słońca u boku ukochanego. Trudniej przychodzi nam odkryć smak

miłości zwyczajnej. Straciliśmy w dużej mierze wiarę, że możliwe jest bycie z drugim człowiekiem, mężem czy przyjacielem, bez jakiegoś koszmarne go znudzenia taką stałością. Nie jest łatwo przestawić się z oczekiwania na ciągłą nowość, poszukiwanie zmiany atrakcji, na dzieloną z drugim człowiekiem codzienność, która wymaga wprost otchłani cierpliwości, przebaczenia, szacunku, ponawianych gestów troski, odpowiedzialności. I gdy tak spróbujemy kochać, mamy szansę na nowo odkryć obecność Boga przychodzącego w Komunii świętej pod postacią chleba. Bo Jego miłość jest właśnie bardzo domowa, rodzinna, w atmosferze dzielonego chleba: na dobre i złe, wytrwała, cierpliwa i towarzysząca swoim najbliższymi, *nam*, w codzienności.

Amen

Wielkim wrogiem dobrego uczestniczenia we Mszy świętej jest bezmyślność wyrażająca się między innymi w rutynowym powtarzaniu przewidzianych słów. Skutek jest taki, że Msza staje się odklepanym, odfajkowanym rytuałem. Tak jak powiedział jeden z moich uczniów: „Na Mszę idzie się po to, aby mieć już to za sobą”.

Jednym z bardzo zużytych przez rutynę słów jest „amen”. Chcę się nad nim zatrzymać w związku z odpowiedzią, jaką dajemy kapłanowi udzielającemu Komunii świętej. Każdy zbliżający się w takim momencie do ołtarza słyszy słowa: „Ciało Chrystusa”. Część ludzi w ogóle nic nie odpowiada, inni odruchowo pomrukują na takiej samej zasadzie jak kasownik mrugający czerwonym światełkiem, kiedy wsuwa się weń bilet. Inna sprawa, że ludzie niejednokrotnie nie mają czasu odpowiedzieć „amen”, bo ksiądz rozdaje Ciało Pana Jezusa w imponująco ekspresowym tempie.

Co powinno znaczyć nasze „amen” jako odpowiedź na usłyszane słowa, objawiające, że sam Jezus oddaje nam swe Ciało? Hebrajski źródłosłów oznacza: zaufać, powierzyć się, uznać prawdę, oprzeć się na wierności Boga. Coś niesamowicie dynamicznego, pełnego naszej inwencji. Jezus w Eucharystii biegnie do nas, pokonując czas i przestrzeń, aby podarować swoje życie, siebie samego. Staje przed każdym z nas niecierpliwy i stęskniony. Jego nieskończone otwarte serce chowa się z dyskrecją w białym chlebie, ale bije gwałtownie z miłości do nas. W momencie przyjmowania Komunii powinno nam się udzielić coś z tej szalonej miłości Pana. Nie możemy mówić „amen” tak, jak grzecznościowo odpowiadamy „dzień dobry” sąsiadowi z bloku. Przyjmujemy Boga tak bardzo kochającego, że w wypowiedzianym „amen” musi zabrzmieć rzeczywiście pełnia znaczenia tam ukryta: zaufanie, powierzenie siebie samego, uznanie w Jezusie Zbawcy, który za mnie właśnie wydał swe Ciało i przelał Krew na krzyżu. Komunia to spotkanie dwu oddających się sobie osób. Boga i mnie. Dlatego w „amen” powinno się wyrazić moje zaangażowanie, miłość i wiara, z jaką przyjmuję Jezusa.

Chleb dla Pana

Wielką tajemnicą komunii z Panem jest wzajemność. Nie tylko my spożywamy Jego Ciało, On także chce nas „spożyć”. Jak może się to się dokonać? Jak tajemnica śmierci i zmartwychwstania, ofiarowana nam w Eucharystycznym Chlebie, ma się objawić w nas, przemieniając nas na strawną dla Pana chleb? Najpierw ważna prawda o tym, że całe dzieło paschalnej przemiany znajduje się naprawdę w rękach Pana Jezusa. To on w Szabat zrywał kłosa i rozcierał ziarna, aby je spożyć (uczniowie sami z siebie, bez zachęty ze strony Jezusa, nie odważyli by się na takie przekroczenie Prawa [por. Mk 2, 23]). Kiedy więc Jezus w Szabat łuskał zboże, to znaczy, że jeszcze się nie skończyło stwarzanie człowieka. W rękach Pana jest dalej kontynuowane. Dlatego Chrystus nie odpoczywa w ów dzień, ale na nowo stwarza człowieka. Stwarza, czyniąc dla siebie pokarm. Przemiana, która się w nas dokonuje, jest objęta łaską Jezusa, naszego Odkupiciela. Nie jest to wywalczanie sobie o własnych siłach nowej moralnej jakości. Tą ścieżką powędrował Pelagiusz, surowy nie zrzeczony mnich brytyjski, który twierdził: Doskonałość jest możliwa do

osiągnięcia poprzez mozolne wysiłki woli i można ją utrzymać za cenę stałej praktyki. Łaska nie jest konieczna.

W Boski sposób Pan łączy nasze wysiłki ze swoją pracą. Gdybyśmy mogli zobaczyć, jak delikatnie – szanując nasz wkład w to dzieło – Pan stwarza nas na nowo w naszym człowieczeństwie, nawróciłibyśmy się w jednej chwili.

Poszczególne etapy przemiany naszej osobowości (umieranie, aby powstawać do życia) możemy sobie metaforycznie wyobrazić poprzez przywołanie etapów „rodzenia się” chleba.

a) *Ziarno oddzielane od plew.*

Wtedy jest straszna zadyma. Plevy fruują, jest hałas, sypie w oczy. Odpada to, co jest zbędne, niepotrzebne, co się nie nadaje do jedzenia. Cały wewnętrzny hałas, który zaczyna być słyszany w ciszy, milczeniu. Nieustannie trwające dialogi z samym sobą, bicie się z myślami, z całym chaosem nagromadzonych słów, skojarzeń. Człowiek stworzony do dialogu ze Stwórcą zagaduje samego siebie na śmierć. Pan uczy słuchać i mówić. *Milczenie* jest „dmuchawą”, dzięki której ulatują wszelkie puste, jałowe słowa, wyobrażenia, nagromadzona ponad miarę i niepotrzebna już wiedza o Nim. Odpadają iluzje.

b) *Łączenie ziaren.*

Ziarna mają zostać połączone w jedność ciasta. Każde z ziaren zawiera w sobie samym całe życie. Muszą zostać roztarte i złączone z wodą. Chcę, posługując się tym obrazem, powiedzieć o trzech wymiarach naszego trwania w czasie: przeszłość, która posiada własne życie w naszej świadomości i podświadomości, od niej oddzielna, posiadająca własne życie teraźniejszość i tak samo funkcjonująca przyszłość. Każdy z tych wymiarów ma tendencję i możliwość życia całkowicie niezależnym życiem.

Wydarzenia z przeszłości, w postaci wspomnień, leżą w magazynie pamięci i powracają jako epizody. Każde z nich jest jak oddzielne ziarnko. Niekiedy nie potrafimy odnaleźć związków łączących je ze sobą.

Od przeszłości można uciekać w pracoholizm teraźniejszości, zapełniając czas nieskoordynowanymi działaniami. Od męczącej teraźniejszości można uciekać w inne życie – w marzenia, plany – wtedy przyszłość zaczyna żyć własnym życiem.

Chodzi jednak o to, żeby całe życie było dla Pana. Żeby zobaczyć swoje życie jako całość przez Niego zagarniętą. Coś z tej tajemnicy przeżył święty Augustyn, kiedy pisał *Wyznania*. Jest tam wielkie ogarnięcie całego życia i zobaczenie go w całej okazałości, aż po wymiar eschatologiczny (już poczuł się w niebie, jak sam o tym pisał). Augustyn rozkruszał epizody przeszłości przez żal i doszukiwał się, wiedziony łaską, prowadzącej go Opatrzności. *Wyznania* to rozmowa z Bogiem, obecnym w całym życiu świętego. Wyznaje Mu grzechy, wiarę i miłość. „Woda” Opatrzności połączyła w jedność wszystkie wymiary życia Augustyna.

c) *Zaczyn*

„Wyrzućcie więc stary kwas, abyście się stali nowym ciastem” (1 Kor 5, 7). „Kwasem” są wszystkie nasze chaotyczne pasje i pożądania. Ten zaczyn musi być zastąpiony nowym. Stary kwas powoduje, że ciasto się psuje, niszczy. W taki właśnie sposób jesteśmy niszczeni przez namiętność posiadania, która zostawia w sercu niesmak i odbija się goryczą: nic bowiem na tym świecie nie może nas nasycić. Ilekroć łapczywie rzucimy się na cokolwiek, co nie jest Bogiem, doświadczymy, jak nam się to kwaśno odbije. „Odrobina kwasu całe ciasto zakwasza” (1 Kor 5, 6). Nie ma tak wielkiego znaczenia, wobec ilu rzeczy będziemy zniewoleni namiętnością posiadania i znalezienia w nich szczęścia. „Odrobina kwasu...”

Nowy zaczyn, który sprawia, że wyrastamy, to duchowe ubóstwo. Bóg staje się naszym jedynym pragnieniem.

d) *Pieczenie*

Chleb musi zostać wypieczony w piecu samotności. Bolesny ogień. Bez niego, i to odpowiednio długo podtrzymywanego, wyszedłby z ciasta zakalec. Cała przemiana, jakiej w nas dokonuje Pan, działając w wyobraźni, pamięci, woli, potrzebuje dobrych warunków, które doprowadzą do szczęśliwego końca. Każda ucieczka od samotności w przypadkowe spotkania, płytkie relacje

będzie utrudniała przemianę osobowości tak, byśmy mocą Paschy-Eucharystii stali się chlebem dla Pana.

Osobista rozmowa

Kiedy jesteśmy na przyjęciu u bliskiej nam osoby i przychodzi czas życzeń, wtedy najpierw ktoś w imieniu zebranych wygłasza mowę pochwalną i składa życzenia. Potem wszyscy jednym głosem śpiewają „sto lat”, „niech ci gwiazdka pomyślności” itp. Następnie każdy osobiście podchodzi do solenizanta i zamienia z nim kilka ciepłych zdań, dziękując za zaproszenie i życząc wszystkiego, co najlepsze. Niejednokrotnie już w trakcie przyjęcia co bliżsi znajomi dosiadają się do gospodarza, żeby porozmawiać w cztery oczy i cieszyć się jego świętem.

Podobnie dzieje się na Mszy świętej. Kapłan w imieniu Kościoła uwielbia Boga i prosi o Jego łaskę dla zebranych. Wszyscy razem poprzez śpiew i modlitwę dziękują Panu za Jego dobroć i cieszą się Jego obecnością. Ale jest również w trakcie Mszy miejsce na rozmowę w cztery oczy z Panem Jezusem. Na wyrażenie osobistej radości, życzeń, powiedzenie o tym, co słyhać, co wydarzyło się dobrego lub przykrego w ostatnim czasie. Jest miejsce na osobiste zwierzenia, czułe spojrzenie.

Tym momentem jest chwila po przyjęciu Komunii świętej, kiedy można usiąść czy klęknąć w ławce, zamknąć oczy i sam na sam pobyć z Panem. Ostatnio stwierdziłem, że nie jest wcale łatwo patrzeć drugiemu człowiekowi w milczeniu w oczy. Spojrzenie gdzieś samo ucieka. Podobnie nie jest wcale prostą rzeczą trwać przed Panem w ciszy, swoimi słowami dziękując Mu za Jego dar, za miłość. Ale bez takich intymnych chwil nie sposób przeżyć Mszy jako czegoś, co jest moje, bliskie. Nie tylko ogólne, dla mas. Gospodarz przyjęcia pragnie, żeby każdy z jego gości poświęcił Mu specjalny czas na spotkanie w „cztery oczy”. W taki sposób celebруем Komunię – On trwa w nas, a my w Nim (por. J 17, 23).

Błogosławieństwo i rozesłanie

Cała liturgia Eucharystii kończy się błogosławieństwem kapłana. Jest ono głosem zebranych w Kościele Dobrej Nowiny: Jesteście wybranymi Pana, tymi, nad którymi On z miłością się pochyła.

Jesteście Jego dziedzictwem, Jego domem, któremu błogosławi. Wasze szczęście to wierność Pana. On składa wam obietnicę pozostania na zawsze z Ludem, który wykupił na własność oddając życie na krzyżu. Ta przynależność jest waszym szczęściem i nadzieją. Bóg nigdy was nie porzuci. Udzielonej łaski sam będzie strzegł i ją umacniał. Oto posyła was w codzienność, abyście mogli doświadczać owoców przemiany, jakiej dokonał. Idźcie – jesteście posłani. Nie spoczywajcie na laurach, nosicie w sobie życie, które ma się rozwijać. Otrzymaliście światło, którego nie wolno ukryć pod korcem. Zamieszkuje wasze serca Trójca Święta – najpotężniejsze Źródło nowego istnienia. Stawajcie się podobni do Niego. Pozwólcie Mu do głębi przeobrazić swoje myśli, odczucia, pragnienia.

Odtąd zaczyna się wielka przygoda, do której Jezus zaprosił swoich uczniów, mówiąc: „Nie wyście Mnie wybrali, ale Ja was wybrałem, abyście szli i owoc przynosili, i by owoc wasz trwał [...]” (J 15, 16). Fascynujące zaproszenie Pana do udziału w łasce Eucharystii rozciąga się na całe nasze życie. Opis powstawania strawnego dla Pana chleba, przy którym zatrzymaliśmy się, mówiąc o Komunii świętej, to ostatecznie nic innego jak moralna przemiana, która dokonuje się w niełatwym spotkaniu naszego grzechu i Jego miłosierdzia.

Wojciech Jędrzejewski OP

Publikacja na podstawie pozwolenia Autora Ojca Wojciecha Jędrzejewskiego OP z dnia 16.10.2007 r.

Kopiowanie i rozpowszechnianie - bez zgody Autora, Ojca Wojciecha Jędrzejewskiego OP -
zabronione